Cena 20 zł

DZIŚ i JUTRO

KATOLICKI TYGODNIK SPOŁECZNY

Rok VI | Warszawa, 3 września 1950 r. | Nr 35 (249)

Pierwszy Ogólnopolski Kongres Pokoju

W dniu pierwszego września zbiera się w Warszawie Ogólnopolski Kongres Pokoju. W ciągu ostatnich dwóch miesięcy odbyły się po całej Polsce kolejne wybory na poszczególnych szczeblach, wyłaniając na zasadach demokratycznych pierwszą pełną i oddolną reprezentację polskiego Ruchu Obrońców Pokoju. Dzięki temu na posiedzeniach Kongresu, na mównicy reprezentowane będą wszystkie odłamy społeczeństwa polskiego, współpracujące zgodnie w wielkim dziele realizacji najszczytniejszego celu: zapewnić ludzkości spokój i możność pracy nad lepszym jutrem.

Ruch Obrońców Pokoju narodził się w Polsce. We Wrocławiu. To zaszczytne wyróżnienie naszego narodu stawia jednak przed nami tym większe obowiązki. Musimy żywić nie tylko ambicję wykazania się na naszym własnym terenie najpiękniejszymi wynikami prac Polskiego Komitetu Obrońców Pokoju, lecz musimy również być zdolni do stałego zwiększania naszego aktywnego udziału w akcji pokoju na szczeblu międzynarodowym. Wymaga to więc od nas wzmożonej uwagi w śledzeniu rozwoju międzynarodowych wypadków, realistycznej i dalekowzrocznej oceny istniejących niebezpieczeństw oraz środków zaradczych do zastosowania. Trzeba, by całe społeczeństwo uświadomiło sobie dobrze, że Polska przestała być zagubionym w dziejach i w świecie zaściankiem, że stanowimy czynny element potężnego nurtu tworzącego dzisiejszą epokę, i że od nas tylko zależy, jakie miejsce w nim zajmiemy — czołowe i pionierskie, czy też w ogonie. Wrocław przypomina nam, że stać nas na zajmowanie pozycji pionierskich.

Kongres Pokoju zbiera się w chwili, gdy na horyzoncie światowym rysują się oznaki nowych niebezpieczeństw grożących ludzkości. Obóz pokoju odniósł ostatnimi czasy szereg poważnych zwycięstw. Pod Apelem Sztokholmskim widnieją podpisy 275 milionów bojowników o pokój, reprezentujących pokojową wolę miliarda ludzi na całym świecie. Mimo oszczerstw i intryg amerykańskich militarystów i uległych im pionków w różnych kapitalistycznych krajach — akcja zbierania podpisów pod Apelem dowiodła bezsilności propagandy wojennej. Nie potrafi już ona szczuć masy ludzkie na siebie, zaślepiać je nienawiścią, szowinizmem, fanatyzmem. Masy myślą i wyrażają swą wolę dobitnie.

Ten stan rzeczy powoduje z kolei rozpętanie się coraz to silniejszej propagandy militarystycznej, próby zastraszania, szantażu, mistyfikacji, mające na celu zmuszenie mas pracujących do uległości wobec wojennych planów amerykańskich fabrykantów wojennych. Mobilizuje się niedobitki hitleryzmu w Niemczech zachodnich, mobilizuje się wszelkie resztki faszystów, kollaborantów, quislingowców, umacnia się siłą policji marionetkowe rządy różnorodnych Hiro-Hito, Bao-Dajów, Li-Syn-Manów. Przy pomocy czołgów i batalionów policji dławi się dziś, gdzie się to tylko da, wszystko to, co stanowi wyraz potężniejącej woli wolności, wyraz buntu przeciw niesprawiedliwości i nędzy.

Stany Zjednoczone, opanowane przez elementy monopolistyczne kapitalizmu stanowią, z każdym dniem wyraźniej, twierdzę światowego faszyzmu, ostoję wszelkiej reakcji.

Krwawa lekcja udzielona przez naród koreański amerykańskim interwentom stanowi jeszcze jedno ostrzeżenie, że czasy grania na nieświadomości, na poczuciu niższości ludów kolorowych, na strachu przed głodem mas pracujących się skończyły. Dziś pokój nie oznacza już dla nikogo prawa do ciemiężenia słabszych, oznacza natomiast prawo dla każdego narodu do budowania w spokoju szczęśliwszej dla siebie przyszłości.

W tych warunkach zwiększyły się poważnie zadania Światowego Ruchu Obrońców Pokoju. Musi się też odpowiednio do tego zwiększyć i nasz w nim udział. Trzeba stwierdzić, iż jesteśmy do tego zadania przygotowani.

Plan sześcioletni buduje dla naszego społeczeństwa zręby nowego ustroju. Cały naród polski skupiony jest wokół wielkiego dzieła odbudowy i rozbudowy swej gospodarki. Plan sześcioletni stwarza przed nami wizję wzmocnienia pod każdym względem potencjału ekonomicznego i kulturalnego naszego kraju, wzmacniając jednocześnie siły obozu pokoju, którego Polska stanowi część nierozerwalną.

Konsekwentnie rozbudowywane przyjazne stosunki między narodem polskim a demokratyczną częścią społeczeństwa niemieckiego — to drugi ważki wkład Polski na froncie pokoju. Wbrew wszelkim intrygom, usiłującym od pięciu lat wznieść mur nienawiści między dwoma sąsiednimi narodami — obopólne uroczyste potwierdzenie granicy na Odrze i Nysie jako Granicy Pokoju — to odniesione wielkie zwycięstwo nad obozem wojennych podżegaczy.

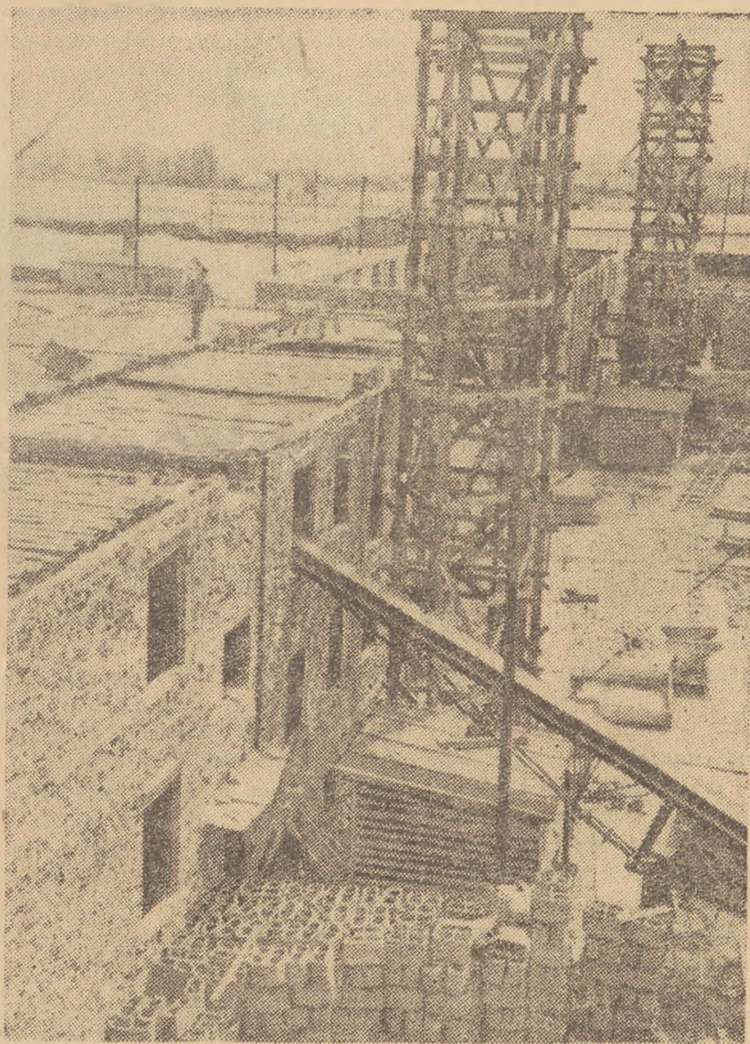
Osiągnięcie i sformułowanie tez Porozumienia między Hierarchią Kościoła Katolickiego w Polsce a Rządem Polski Ludowej — to nie tylko roztoczenie wizji możliwości współżycia obok siebie — katolicyzmu i socjalizmu. Osiągnięcie Porozumienia jest dowodem dla mas katolickich na świecie, że Kościół i państwo socjalistyczne mogą współżyć pokojowo. Fakt ten ułatwia milionom katolików aktywny udział w Ruchu Obrońców Pokoju.

(dokończenie na str. 2.)

Dominik HORODYŃSKI

ROMANTYKA i PODPALACZE

Jest piękna spokojona pogoda ostatnich dni sierpnia. Z mojego okna widać duży szmat Warszawy, czyste jasne świeżo odbudowane ulice. Opodal dźwiga się w górę potężny kompleks nowych gmachów, furmanki wywożą ostatnie gruzy, wielkie zakurzone samochody zwożą materiały budowlane, zgrzytają dźwigi, pokrzykują na siebie pracujący



Rusztowania nowej Warszawy

ludzie. Kilkaset metrów dalej jest Starówka. Oczyszczony z bezładu zniszczenia, uporządkowany i martwy Rynek. Jest tam tak cicho, jak w wielkim spalonym lesie. Gdy się siądzie teraz, pod wieczór, na kamieniu przy rogu Świętojańskiej, wchodzi się w inną, nie z 1950 roku rzeczywistość. Na prawo czerwona, nie podobna do dawnej wieża katedry, za którą dalej, od kolumny Zygmunta z rzadka migną gołębie, wokół wyszczerzone do góry, wilgotne piwnicami ruiny, w ich szczerbach za Wisłą zielona w słońcu Praga. Jesienne, zamglone i przejrzyste niebo z obrazów Canaletta. Starówka! — dostojna kraina pamiątek. Za rok tu będzie inaczej. Za cztery — pięć lat znów tu bić będzie serce miasta, które nie dało się pokonać. Teraz Stare Miasto jest ostatnim w Warszawie miejscem, gdzie słyszy się jeszcze oddech minionych, strasznych dni.

Jedenaście lat temu, w równie piękny jak dziś ranek polskiej jesieni, wojska niemieckie uderzyły na Polskę. W rocznicę wybuchu najstraszniejszej z wojen modlitwą i serdecznym wspomnieniem wrócimy do tych, którzy za naszą wolność zginęli we wrześniu 1939, którzy polegli w walkach podziemnych i w piekle powstania, do tych, którzy za Polskę na wszystkich frontach tej wojny życie oddali. Modlitwą i serdecznym wspomnieniem wrócimy do wszystkich zamordowanych i zadręczonych w czasie okupacji, raz jeszcze przemyślimy wielką lekcję klęski, cierpienia i zbrodni.

Warszawa uczci dzień 1 września krajowym Kongresem Pokoju. „Wojna zabija jednych, drugich uczy". Nie wystarczy czcić pamięć poległych. Trzeba służyć sprawie, za którą ginęli. Trzeba wywalczyć i zbudować świat, w którym nie będzie daremnych śmierci i cierpień.

Delegaci Kongresu manifestując w imieniu milionów Polaków wolę obrony pokoju będą mogli równocześnie zapewnić tych wszystkich, którzy przygotowują nową wojnę, że dla Polski wrzesień nie powtórzy się nigdy. Możemy dać takie zapewnienie, które już samo jest miarą jak wielką drogę odbyliśmy od chwili umilknięcia ostatnich strzałów drugiej wojny światowej.

ROMANTYKA — NIE MRZONKA

W 1939 roku agresja hitlerowska się powiodła. Państwo polskie zostało rozbite. Klęska wrześniowa — to owoc politycznego osamotnienia ówczesnej Polski, owoc egzotycznych, nie z rzeczywistością wspólnego nie mających sojuszów. Osamotnienie polityczne dało w rezultacie słabość gospodarczą i militarną Polski dwudziestolecia. I gdy nadszedł wrzesień, nic nie pomogło bohaterstwo i poświęcenie narodu, nie pomogło odroczenie „rachunków krzywd", wielkich krzywd społecznych. Nic już nie mogło uratować tak ustawionego państwa.

W 1939 r. agresja hitlerowska powiodła się ponieważ ówczesne państwo polskie było nie tylko źle ustawione, lecz i źle zbudowane. Kapitalistyczny ustrój społeczny uniemożliwiał rozwój siły wewnętrznej państwa i warunkował jego zgubne sojusze.

We współczesnym świecie też istnieje groźba agresji, lecz we współczesnym świecie nie ma państwa polskiego sprzed jedenastu lat. Polska Ludowa nie jest osamotniona, sojusze polityczne wynikają z rzeczywistości, mają realną siłę i znaczenie. Wielki blok ludów Azjii i Europy budujący socjalizm, blok od Korei po Łabę, gwarantuje powagę polskiego oświadczenia: wrzesień nie powtórzy się nigdy!

Dlatego w rocznicę wybuchu wojny, nad grobami zabitych przyjaciół możemy uczcić dzień 1 września powzięciem, najbardziej osobistej decyzji pełnego poświęcenia się, by wykonane zostało wielkie zadanie postawione przed Polską: realizacja Planu sześcioletniego. Realizacja, która będzie najistotniejszym i najtrwalszym wkładem Polski w walkę o pokój, a równocześnie spełnieniem najśmielszych marzeń tych, którzy o Polskę piękną i lepszą walczyli.

Pomyślmy! Jaka romantyka kryje się w tym fakcie, że w pięć lat po wojnie Polska, ta tradycyjnie biedna i nieszczęśliwa Polska, od tylu pokoleń źródło sentymentalnych wzruszeń i litości bogatych mieszczan zachodniej Europy, stawia przed sobą zadanie wyrównania swego potencjału gospodarczego do potencjału krajów, które od wieków miały możność bogacenia się.

Jaka romantyka kryje się w fakcie, że w chwili gdy bogate zachodnie państwa przygotowują wojnę i drżą przed wojną, Polska, kraj tradycyjnie deptany i niszczony przez wojny stawia wielki plan pokojowego budownictwa.

Jakaż romantyka w fakcie, że ten wielki, fantastyczny plan nie jest żadną mrzonką, że ma realne, rzeczowe podstawy.

WIELKOŚĆ PLANU

Sformułowany przez wicepremiera Hilarego Minca, przedyskutowany przez KC PZPR i uchwalony przez Sejm Plan Sześcioletni oszałamia ilością i wielorakością cyfr, wielko-

(dokończenie na str. 3.)

Paweł JASIENICA

SPRAWY, O KTÓRYCH BYŁO CICHO

— A po owocach ich poznacie je.

W końcu lipca odbył się w Warszawie przed Sądem Wojskowym proces o szpiegostwo, zakończony wyrokiem skazującym.

Od kiedy się zaś zaczęła awantura koreańska — rozgłośnie zagraniczne nadające niektóre swe rudycje w naszym języku uprawiają bardzo szczególny proceder. Oto puszczane tam są w eter rozmaite orędzia, apele i alokucje, wzywające Polaków w kraju do spokoju i unikania ofiar, dopóki „legalny rząd" nie zawrze umów, gwarantujących, że te ofiary wyjdą Polsce na korzyść. Nie notowałem formy tych oświadczeń, ale treść ich była taka, jak podałem.

Rozszyfrować istotne znaczenie tych wezwań jest aż nazbyt łatwo. Są to — zamaskowane pozorami troski o naród polski — p r ó b y m o b i l i z a c j i p s y c h i c z n e j. Bo przecież sugeruje się, że ktoś tam, wyposażony w „prawo" do rozkazywania „czuwa" i w odpowiednim momencie da „hasło". Chyba jasne?

Mobilizacja — do czego? A no, do takich właśnie czynów, jak te, które ujawnił warszawski proces, wspomniany na początku. To znaczy do szpiegostwa na rzecz Anglosasów, do dywersji, sabotażu. I do tego także, o czym na procesie wprost nie było mowy, to znaczy do „lasu".

Władysław Śliwiński — oskarżony z tamtej rozprawy — oświadczył, iż zapewnienia jego londyńskich mocodawców były fałszywe: w Polsce nie ma bynajmniej dwudziestu czterech milionów kandydatów na szpiegów i dywersantów. Prawda niewątpliwa. Możemy być spokojni o zachowanie się przygniatającej większości Polaków, którzy rozumieją czym jest dla kraju pokój i chociażby zachodnia granica. Ale to wszystko bynajmniej nikogo nie zwalnia od troski o zachowanie się jednostek. Bo jednostki, czy nieliczne ich grupy też mogą narobić szkody. I to szkody wcale poważnej. Grupa, sądzona w lipcu w Warszawie wysłała do Londynu bodaj więcej raportów szpiegowskich niż sama liczyła osób.

Chodzi więc o uświadomienie sobie niebezpieczeństwa, jakim nam nadal grożą zagraniczne inspiracje i prowokacje, tudzież o wytworzenie w kraju nastroju — więcej, zbiorowej woli, paraliżującej te usiłowanie. A i to nie jest bez znaczenia, że żal — żal każdego Polaka, któryby się pozwolił otumanić i zamiast służyć krajowi — dopuścić się miał zbrodni w służbie siłom obcym.

Nie jestem tak naiwny, by mniemać, iż leży w naszej mocy namówić brytyjską Intelligence Service do zaniechania jej planów i prac, kraju naszego dotyczących. Ale wzmiankowana instytucja korzysta z usług pewnych „pośredników" narodowości polskiej. Toż i te wszystkie audycje Londynu, Madrytu, Paryża itd. będące głosem propagandy rządu angielskiego, hiszpańskiego, francuskie go itp. wykonywane są przez Polaków, zamieszkałych w tamtych krajach. Śliwińskiego do roboty szpiegowskiej zwerbował nie żaden Anglik, tylko Polak, oficer, pozostający na służbie Intelligence Service. Istnienie owego p o ś r e d n i c t w a polskiej emigracji politycznej jest więc okolicznością szczególnie ważną. Emigracja ta jest bezpośrednią spadkobierczynią „polskiego Londynu" z czasów wojny. Sama się na ten fakt rada powołuje. I stosuje tę samą metodę, którą „Londyn" nieodmiennie uprawiał podczas wojny. Jest to metoda b e z c z e l n e g o o s z u k i w a n i a w ł a s n e g o n a r o d u.

Nie mogąc wpłynąć na uczynki mocodawców, czyli zagranicznych central wywiadu, możemy jednak zabezpieczyć się przed działalnością pośredników. Dlatego też należy wyciągnąć na światło dzienne ową ulubioną metodę emigracji. Wychodzę z założenia, iż znajomość prawdy jest koniecznym warunkiem, umożliwiającym rozumne postępowanie.

W artykule tym nie będzie żadnego teoretyzowania. Powołane zostaną wyłącznie fakty, z których każdy może być udokumentowany.

×

Piszący te słowa należał podczas wojny do konspiracji kierowanej przez Londyn (A. K.) i służył wiernie. O, trochę aż zanadto wiernie. Przez czas dłuższy zajmowałem się propagandą. To znaczy gazetki, biuletyny radiowe. Spośród bezpośrednich współpracowników — ludzi naprawdę bliskich — cztery osoby zostały przez hitlerowców rozstrzelane. Szereg innych poszło do więzienia, a co się później z nimi stało, tego nie wiem.

Razu pewnego mały transport bibuły na prowincję zabierała jakaś niezbyt piśmienna babinka.

— Ja tam nie wszystko rozumiem, co tu jest napisane, ale i tak wiem na pewno, że to wszystko prawda — oświadczyła.

Otóż nie! Owe biuletyny i gazetki, przy których sporządzaniu zginęli tamci dzielni i wartościowi ludzie, nie zawierały tej właśnie prawdy, jaka potrzebna była Polakom dla rozumnego pokierowania własnymi losami. Odwrotnie — będąc przedłużeniem polityki „londyńskiej", operowały tamtejszym materiałem propagandowym, który dostarczany był krajowi tak, aby istotną prawdę przed Polakami ukryć, wmówić im, że osiągnięto wspaniałe rezultaty, że polityczna pozycja Polski jest u Anglosasów świetna, że nasz „wkład do wojny"... itd., itd., itd.

Konspiracyjne wydawnictwa, o których wspominałem, miały budzić i podtrzymywać ducha oporu wobec okupanta. Ale cała tamta robota przypomina mi postępowanie człowieka, który za wielką, za ogromną cenę kupił proch i ołów, nabił nimi armatę — i palnął w powietrze.

Żeby to jeszcze przynajmniej w powietrze! Chadzanie mylnymi, donikąd nie wiodącymi drogami przyniosło Polsce szkodę oczywistą.

Poczucie obowiązku wobec tych, którzy zginęli walcząc z dobrą wiarą wymaga starań, aby nie udały się próby oszukiwania narodu nadal. Dlatego trzeba koniecznie uświadomić sobie ogrom tamtego wojennego oszustwa. Bo ci sami ludzie wtedy i dziś....

„A po owocach ich poznacie je".

×

Jakich więc wiadomości brakowało w tamtych biuletynach i gazetkach?

I. 21 września 1939 roku (wyraźnie: dwudziestego pierwszego września tysiąc dziewięćset trzydziestego dziewiątego roku) na życzenie brytyjskiego gabinetu wojennego Winston Churchill opracował memoriał polityczny. Wynikały zeń wyraźnie pewne prawdy. To, że Anglia przestaje się interesować Polską jako samodzielnym problemem politycznym i uznaje przesunięcie granicy Z. S. R. R. na Bug za usprawiedliwione. Churchill przewiduje dalej i zgóry aprobuje powrót Besarabii do Z.S.R.R. Wszystkiego tego nie czyni oczywiście z sympatii dla Kremla. Obchodzi go Rosja, jako potężny przypuszczalny partner w wojnie (już we wrześniu, przez samą swą obecność na Bugu związała Moskwa 20 do 25 dywizji Wehrmachtu, czyli więcej niż ich wiązał „front zachodni" w czasie kampanii polskiej). A więc sprawa polska będzie odtąd w ręku Anglii tylko i jedynie środkiem oddziaływania na główne zagadnienie stosunków ze Związkiem Radzieckim.

Taki wniosek wypływał z ówczesnych zapatrywań Churchilla i późniejsza rzeczywistość wszystko to potwierdziła. Przodujące osobistości polityczne zachodu jasno widziały oczywistą prawdę, że przesunięcie się granic Z. S. R. R. na Bug jest logicznym zakończeniem historycznego procesu o posiadanie ziem ruskich, rozpoczętego w stuleciu XIV (jeżeli komu nie wystarczy opinia Churchilla, to niech zajrzy do książki Leona Noël (b. ambasadora Francji w Warszawie), który wprost napisał, że przynależność do niej tamtych ziem stała się anachronizmem).

Tak, ale politykom zachodnim bynajmniej nie wadziło, jeżeli Polacy — a przynajmniej ich część — zapatrzeni w fikcję zachodnich gwarancji, dalej grzęzną w spór z Rosją, spór niepotrzebny i szkodliwy, a dla narodu uwikłanego w jednoczesną wojnę z Niemcami po prostu doraźnie zgubny. Bo przecież był to konflikt z jedynym państwem, w którym mogliśmy znaleźć oparcie, wynikłe z obustronnych pozytywnych zainteresowań. Wyjście z naszego fatalnego geo-politycznego położenia przed wojną było możliwe tylko w oparciu o Z.S.R.R. i temu logicznemu rozwiązaniu nawet ciężki spadek lat dawnych, pomnożony o błędy wojenne, przeszkodzić nie potrafił. Stać się tak musiało po prostu dlatego, że przymierze z Polską leżało w interesach Z.S.R.R. i nadal leży.

Wiadomość o przytoczonych wyżej poglądach Churchilla przydałaby się bardzo w kraju.

Zwłaszcza zaś tym, którzy z narażeniem życia darli się przez Bałtyk i Karpaty na zachód, gdzie, jak przypuszczali, sprawy naszej ojczyzny będą rozstrzygać się mieczem. Bo w rzeczywistości mężne pułki polskie na zachodzie biły się o interesy angielskie (to przede wszystkim), francuskie, amerykańskie, holenderskie, belgijskie, skandynawskie, włoskie. Los Polski zaś uzależniony był od stanu rzeczy na wschodzie. To znaczy od przyszłego frontu wschodniego i porozumienia z Z. S. R. R. Ci, którzy o to porozumienie zabiegali, ci właśnie szli po linii bezpośrednich interesów Polski.

Wiadomości tej w kraju zabrakło.

A któż mógł znać treść tajnych pism Churchilla — powiecie? Otóż poglądy, zawarte w omawianej nocie, wyłożył mister Winston w skrócie w swej mowie radiowej, wygłoszonej dnia 1 października 1939 roku. Czyli wtedy, kiedy jeszcze bronił się Hel. A ówczesny premier brytyjski stanowisko Churchilla aprobował.

II. W tymże październiku lord Halifax, podówczas minister spraw zagranicznych, odpowiadając w parlamencie na zapytania posłów, dawał do zrozumienia, że jego rząd nie gwarantuje przedwojennych wschodnich granic Polski.

A polska propaganda radiowa trąbiła o „gwarancjach". Nieco zaś później dęła w surmy bojowe, opowiadając o ewentualności wysyłki wojsk polskich do Finlandii! Czyli usiłowała wplątywać naród polski w coraz to głębszy konflikt z Z. S. R. R., co jak najbardziej interesom rządów zachodnich odpowiadało.

III. Kiedy w Nowym Jorku zorganizowane zostało zebranie, na którym opowiadano o losie Żydów polskich — przedstawiciele prasy opuścili salę, uważając wszystko za kłamstwo. Z tego wniosek ile ważyło u Anglosasów męczeństwo obywateli polskich.

IV. W roku 1941, podczas wizyty Sikorskiego w Moskwie, Stalin zaproponował mu natychmiastowe i bezpośrednie załatwienie spraw spornych.

— Panie generale — powiedział Stalin — a możebyśmy porozmawiali o granicach?

Sikorski uchylił się od wszelkiej rozmowy na owe tematy. N i e z a p y t a ł n a w e t, c o S t a l i n p r o p o n u j e. Największy szacunek dla osoby tragicznie zmarłego generała nie powinien przeszkadzać stwierdzeniu, że Sikorski nie stanął wtedy na wysokości zadania, gdyż powinien był porozumienie doprowadzić do końca.

V. W styczniu 1942, przy okazji układania deklaracji Narodów Zjednoczonych, Anglosasi potraktowali Polskę jako małoznaczącego sprzymierzeńca Wielkiej Brytanii, wraz z grupą innych państw mającego bronić A t l a n t y k u. Ten fakt, jak również wysoce upokarzająca forma traktowania „natchnienia narodów" były w kraju najkompletniej nieznane. Zamiast tego dowiadywaliśmy się o rozmaitych nic nie znaczących przyjęciach, rozmowach i rozmówkach.

VI. Wymarsz korpusu Andersa z Rosji, przedstawiany nam jako samodzielne i bardzo chytre posunięcie polskie — był w gruncie rzeczy inspirowany przez Roosevelta, Churchilla, Sumner Wellesa, Stettiniusa,

Dokończnie na str. 10

Pierwszy Ogólnopolski Kongres Pokoju

Na tym też tle rysują się specjalnie wyraźnie specyficzne i niezwykle odpowiedzialne zadania, ciążące, w ramach akcji pokoju, na katolickiej społeczności w Polsce. Już w okresie zbierania podpisów pod apelem sztokholmskim zarysowała się wyraźnie waga zlikwidowania wszelkich nieporozumień czy niejasności dotyczących stosunku katolików do akcji pokoju.

Katolicy, biorący udział w akcji pokoju — jako katolicy, a nie tylko jako obywatele kraju, muszą zagadnienia polityczne odłożyć na dalszy plan. Gdy katolik, pod sztandarem swej wiary, występuje w obronie pokoju, czyni to w pierwszym rzędzie by dać świadectwo, że właśnie pokój, a nie wojna jest tym stanem, do którego musi dążyć każdy katolik, czyni to po to, by podkreślić, że nie może zabraknąć głosu katolickiego gdziekolwiek się przejawia dobra wola służenia sprawie pokojowego współżycia między ludźmi. Dopiero później, po zamanifestowaniu swej zasadniczej solidarności w sprawie pokoju — może katolik, ale już na tej samej płaszczyźnie co każdy inny obywatel bronić swych własnych politycznych czy społecznych koncepcji pokojowych rozwiązań.

Jako katolicy popieramy Akcję Ruchu Obrońców Pokoju — bo jest w swym założeniu samym czynnikiem broniącym pokoju. Hierarchia Kościoła Katolickiego w Polsce swe ostateczne pozytywne stanowisko do akcji Apelu Sztokholmskiego również wyraźnie podkreśliła, że czyni to z najbardziej pryncypialnych pobudek.

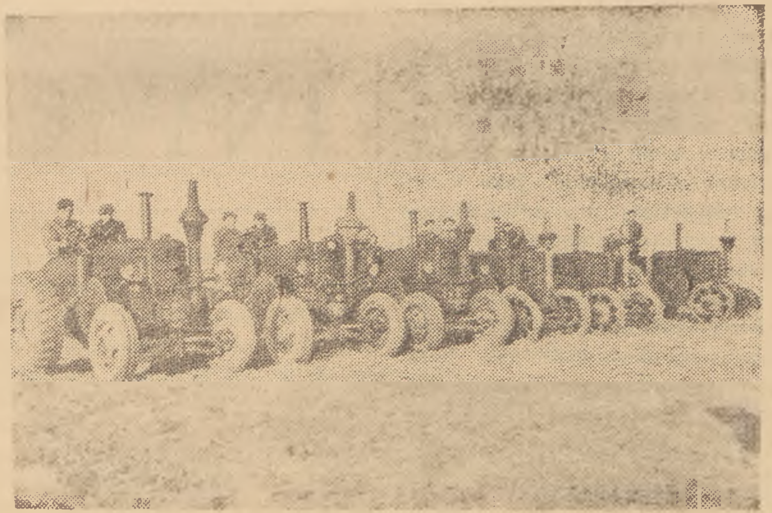
Jako obywatele Polski, w zakresie naszej własnej odpowiedzialności i naszego prawa do wyboru najwłaściwszej drogi realizowania naszych ideałów wyrażamy przekonanie, że konsekwentne pobudowanie fundamentów pod sprawę ogólnoświatowego pokoju wiąże się nieuchronnie ze sprawą budowania zasad socjalistycznego współżycia między ludźmi, gdyż ono dziś eliminuje najlepiej najistotniejsze przyczyny konfliktów. W tym samym zakresie stwierdzamy też nasze najgłębsze przekonanie, że poczynania zwolenników kapitalistycznego świata prowadzą ku nowej, trzeciej wojnie, której zapobiec może tylko zdecydowana społeczne postawa szachująca zbrodnicze zamierzenia militaryzmu.

Dlatego właśnie nawołujemy, by katolicy polscy z całym poczuciem ciążącej na nich odpowiedzialności poparli Światowy Ruch Obrońców Pokoju, jako czynnik pacyfikowania międzynarodowych stosunków. Domagamy się od nich również, by przemyśleli wszelkie konsekwencje praktyczne obowiązku działania w obronie pokoju, i by swą osobistą postawą nie stali w sprzeczności do głoszonych wielkich i pięknych zasad chrześcijaństwa.

Przed rozpoczynającym się Ogólnopolskim Kongresem Obrońców Pokoju stoją ważkie zadania — poszerzyć i pogłębić pokojową aktywność własnego społeczeństwa i sformułować nowe zadania dla Polski w ramach Światowego Ruchu Obrońców Pokoju. Ośrodki katolickie brały czynny udział w akcji wyborczej do Komitetów, będą więc reprezentowane na sali obrad. Głos katolików wystąpi w dyskusji. Wierzymy głęboko, że będzie to udział pozytywny i twórczy. Jesteśmy przeświadczeni, że osiągnięcia Kongresu śledzone będą z zainteresowaniem i życzliwością przez całą społeczność katolicką polską.

ROMANTYKA I PODPALACZE

(dokończenie ze str. 1)


Nowe traktory „Ursus"

ścią perspektyw i ogromem zadań. Prasa codzienna zaznajamia czytelników i zaznajamiać ich będzie przez szereg miesięcy z kolumnami cyfr poszczególnych działów produkcji, z zamierzonym i zrealizowanym postępem. Co jest istotą wielkiego Planu?

Istotą planu jest to, że w ciągu sześciu lat mamy definitywnie wyciągnąć Polskę z zacofania gospodarczego i uzbroić ją w taki aparat wytwórczy, w tak rozbudowane kopalnie i wielki przemysł, czyli w środki dające podstawę do produkowania własnych maszyn i własnych fabryk, by uniezależnić nasz kraj ekonomicznie. Jest to więc plan inwestycyjny, zmierzający do prawdziwego uprzemysłowienia Polski, do zmiany struktury kraju z rolniczo-przemysłowej, na przemysłowo-rolniczą. Oznacza to dokonanie w krótkim przeciągu czasu gigantycznej operacji gospodarczo-społecznej dotyczącej osobiście każdego absolutnie mieszkańca Polski. Dlatego apel Prezydenta Bieruta, by z Planem „zapoznać cały naród i każdego obywatela, każdego robotnika i chłopa, inżyniera i nauczyciela — zapoznać z nim wszystkich ludzi pracujących lub przygotowujących się do pracy przez naukę. Jest to bowiem plan i kierunek naszej drogi rozwojowej na okres najbliższych 6-ciu lat, ale taki plan i kierunek, który określa całą naszą przyszłość" — dlatego apel ten odnosi się nie tylko do działaczy gospodarczych i politycznych, nie tylko do dziennikarzy i literatów, lecz skierowany jest do wszystkich Polaków, od wkładu pracy każdego z nas zależy wynik ostateczny Planu, a owoce jego będą naszą wspólną własnością.

Podczas naszej pracy będziemy uczyć się cyfr planu, będziemy coraz lepiej rozumieli co cyfry te oznaczają. Trzeba mieć dużo fantazji by dobrze rozumieć, co oznacza np. cyfra 4,6 milionów ton stali rocznej produkcji, czy też wzrost energii elektrycznej do 19,3 miliardów kilowat-godzin. Gdy porównamy nasze zamierzenia z odpowiednimi cyframi w bogatych państwach zachodnich, zorientujemy się, że zamierzenia te oznaczają istotnie dopędzenie przez nas w wielu dziedzinach czołowych krajów kapitalistycznych w produkcji przemysłowej przypadającej na głowę ludności. W sumie — jak stwierdził wicepremier Minc — przebyć mamy więcej niż połowę drogi dzielącej nas od Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej w proporcjonalnym do ilości mieszkańców uzbrojeniu przemysłowym. Oznacza to olbrzymi awans gospodarczy i polityczny Polski w rodzinie narodów świata.

Raz na zawsze zniknie pruskie przysłowie o „polnische wirschaft", zniknie światowa legenda polskich dróg, powstanie naprawdę nowa Polska. Czy tak szeroko zakrojony plan jest możliwy do wykonania, czy jest realny? Wykonanie każdego planu gospodarczego uzależnione jest od warunków politycznych. Utrzymanie pokoju, a tym samym możność kontynuowania inwestycyjnej gospodarki pokojowej jest zasadniczym interesem Polski. Pokój, to pierwszy warunek wykonania planu. Pomoc ZSRR to drugi warunek. Wyraża się ona udzieleniem Polsce wielkich kredytów inwestycyjnych w sumie 2,2 miliarda rubli, dostawą sprzętu inwestycyjnego, pomocą techniczną i zwiększonym obrotem towarowym.

Jest rzeczą oczywistą, że nie można by przystępować do realizacji takiego planu, nawet nie można by o nim myśleć, gdyby nie rewolucja ustrojowa i budowanie socjalizmu w Polsce. Gospodarka planowa, uniezależnienie się do kapitalistów zagranicznych i na nowych zasadach oparte stosunki gospodarcze między Polską a ZSRR i krajami Demokracji Ludowych — to podstawa na której mógł powstać plan. Ale to jeszcze nie zapewnia zwycięstwa.

OBOWIĄZEK I ZASZCZYT NAS WSZYSTKICH

Wicepremier Minc oświadczył: „Trzeba powiedzieć z całą jasnością i twardością, że wykonanie Planu 6-letniego stawiać nas będzie wobec konieczności przełamania szeregu poważnych trudności, większych, bardziej skomplikowanych i złożonych niż te, z którymi mieliśmy do czynienia w okresie wykonywania Planu 3-letniego". I dalej: „Niewątpliwie stoją przed nami ciężkie, trudne i poważne zadania. Niewątpliwie z chwilą gdy uchwalamy Plan 6-letni — bierzemy na siebie ciężkie obowiązki. Trudna to będzie walka."

W walce o wykonanie Planu Partia i obóz rządzący stanowią ośrodek kierowniczy. Lecz w takiej sprawie nikt z Polaków nie może uchylać się od współodpowiedzialności. Znamy środki, wiemy jakie są cele. Wiemy, że bez pracy i oszczędności nie zrealizujemy Planu. Pracy i oszczędności żądają od nas jego twórcy. Oszczędności na kosztach produkcji, pracy coraz wydajniejszej.

Człowiek pracuje tym wydajniej im bardziej wierzy w sens swojej pracy, im bardziej porywa go wizja przyszłości. Perspektywy roku 1955 powinny zmobilizować do maksymalnego współzawodnictwa pracy, do maksymalnego entuzjazmu.


Budowa osiedli robotniczych

Trzeba uzbroić się przeciwko wszelkim wątpliwościom i załamaniom. Z natury rzeczy plan inwestycyjny, który przewiduje 150% zwyżkę globalnej produkcji przy 50% zwyżce konsumpcji narzuca konieczność pewnych wyrzeczeń, pewnego ograniczania potrzeb. Nikt tego nie lubi. Ale nie będzie sarkał ten, kto zrozumie istotę planu, planu umożliwiającego gwałtowny i stały wzrost konsumpcji po roku 55. Oczywiście stwarza to konieczność heroicznego wysiłku. Tym trudniejszego, że przy szybkiej zmianie struktury kraju zjawią się różne nowe konflikty, mogą zjawić się niedociągnięcia aparatu administracyjnego, rozdzielczego i różne nieprzewidziane i źle działające na psychikę trudności. Wysiłku tym wytrwalszego, że realizacji wielkich zadań postawionych przed rolnictwem i przebudowie struktury wsi towarzyszyć będzie ostra walka klasowa. Wysiłku tym trudniejszego, że podejmowanego w warunkach trudnej sytuacji międzynarodowej co powodować musi stałe podkopywanie i utrudnianie wykonania Planu przez wszelkiego rodzaju formy propagandy państw kapitalistycznych. Ale wysiłku, który wart jest podjęcia, który podjęty być musi z pełnym zapałem.

Katolicy polscy mają tutaj ogromną rolę do spełnienia, przez uświadamianie jak najpowszechniejsze czym jest Plan dla Polski, przez wykazywanie swą postawą, że błędnie rozumie miarę, ten kto widzi w niej przeszkodę przy współzawodnictwie pracy, że zbudowanie Polski bogatej jest celem doczesnym katolików, bo stwarza lepsze warunki dla wszechstronnego rozwoju osobowości każdego obywatela. Ogromna może być rola duchowieństwa wiejskiego, proboszczów i wikarych, przy realizowaniu zadań postawionych przed rolnictwem, a działających w myśl odnośnego punktu Porozumienia Kościoła z Państwem. Ogromna może być rola nowej literatury katolickiej, rozwiązującej współczesne konflikty polskiego życia.

Dziś, w dniu 1 września, powinniśmy przyjąć wszyscy, katolicy i marksiści, w naszej pracy zawodowej, w naszej pracy społecznej wspólną dewizę: wykonanie planu 6-letniego decyduje o przyszłości Polski jako narodu.

PODPALACZE

Kongresem Pokoju, postanowieniami w sprawie Planu 6-letniego obchodzimy rocznicę wojny w Warszawie. Nie na całym świecie takie cele stawiają sobie dziś ludzie. 1 wrzesień mija przy akompaniamencie wycia całego aparatu propagandowego rządów kapitalistycznych, — nielicznych się z pokojową wolą narodów — wycia, zmierzającego do wywołania nastrojów wojennych. Propaganda ta drogo kosztuje i z pewnością ma swoje cele. We właściwym więc momencie porusza Jasienica, w artykule drukowanym obok, „Sprawy o których było cicho". Jasienica wspomina o dzisiejszych zamiarach emigracji wobec Polski i charakteryzuje jej rolę w okresie wojny. Warto to uważnie przeczytać.

Jakież ma cele w stosunku do naszej części Europy propaganda wojenna? — Chodzi o stwarzanie nastroju niepewności, o utrudnianie realizacji planów gospodarczych, wreszcie o próby przygotowywania gruntu pod akcje dywersyjne i szpiegowskie. Różne grupki skłóconych między sobą emigrantów polskich starają się na wyścigi pomagać anglosasom w tych szlachetnych poczynaniach. Pocieszcznie musi wyglądać ten wyścig do przyszłych urojonych dygnitarstw.

Rozchodziły się drogi emigracji i kraju, a dziś rozeszły się całkowicie. Dziś, w okresie układania swych fantastycznych planów emigracja powinna wiedzieć, że w zasadniczych dla Polski sprawach, w sprawie pokoju, w sprawie realizacji Planu 6-letniego, w sprawie granic i w sprawie obrony tego wszystkiego co jest dorobkiem narodowym sześciu lat demokracji ludowej poglądy wszystkich mieszkańców Polski są zgodne. Ta świadomość powinna ostudzić szaleńcze plany, powinna też zreflektować mocodawców.

Ponury przykład Śliwińskiego ma swoją wymowę. Każdy następny kandydat na agenta musi wiedzieć, że poza nawias społeczności polskiej postawią go nie tylko władze państwowe, lecz przedtem jeszcze jednolita w tej sprawie opinia publiczna. Planem 6-letnim budujemy dla Polski piękny dom — podpalacz do niego nie wejdzie!

×

Wracam ze Starówki. Słońce chyli się za dachy pałaców Miodowej, niebo różowieje zachodem, pewno na kartofliskach równiny mazowieckiej lśnią już nici babiego lata. Gromada gołębi wzbiła się z kościoła św. Anny, zafurkotała i opadła opodal kolumny Zygmunta. Opalony uśmiechnięty chłopiec sypie im ziarno. Miękki, ciepły wieczór naszej jesieni.

Tutaj zginęły wszystkie gołębie Starówki, na tym placu ginęły dzieci. Chłopiec nic nie wie o tym, nie wiedzą gołębie.

Wiedzą o tym dobrze podpalacze. Ale wiedzą też doskonale ci, którzy budują plan sześcioletni.

Dominik Horodyński

Mechanizacja rolnictwa

O integryzmie mówi się i pisze w Polsce niewiele. Wewnętrzna problematyka chrześcijaństwa nie stanowiła u nas nigdy przedmiotu żywych zainteresowań. Przeważała zwykle tendencja do traktowania społeczności katolickiej jako monolitu, wewnętrznie nie zróżniczkowanego i nie stanowiącego przedmiotu analizy. Nie widząc tych zróżnicowań sądzono, że właściwym jest tylko przeciwstawianie tak pojmowanej społeczności katolickiej „en bloc“ pojęciom zewnętrznym, obcym. Katolicyzm — a sprawa taka czy inna, nigdy zaś — taki czy inny problem — wśród katolików. Znaczenie i przyczyny tej właśnie tendencji — wyjaśnia nam niezmiernie wnikliwa i głęboka rozprawa głośnego teologa francuskiego — Dominikanina — ojca Yves Congar.

Dedykujemy te rozważania naszym przeciwnikom i krytykom w obozie katolickim. Nie czynimy tego w tym sensie byśmy pragnęli — na tle krytyki integryzmu, przedstawiać swe stanowisko jako ideał. — Czynimy to po to, by uświadomić wielu — iż o treści katolicyzmu naszej epoki — decydować musi zdolność rozwijania i w jednej społeczności różnych kierunków, krytykujących się nawzajem w atmosferze zaufania i życzliwości.

Redakcja

O. Yves CONGAR O. P.

INTEGRYZM A PRAWICOWA

***

Można dwojako pojmować słowo „integryzm“. Dla jednych, przyjmując znaczenie zwężające, integryzm znaczy tyle, co stanowisko zajęte w swoim czasie przez niektórych katolików w stosunku do modernizmu. Tak pojęty integryzm jest więc ściśle określonym faktem historycznym, umiejscowionym w pierwszym dwudziestoleciu XX wieku. Dla wielu innych jednak — integryzm jest stanowiskiem zajmowanym przez katolików aktualnie, wykraczającym więc znacznie poza problematykę i historyczny czasokres modernizmu. Takie stanowisko właśnie zajmował kardynał Suhard, gdy stwierdzał, że i dziś napotykamy swoisty modernizm i integryzm. Charakteryzując te dwie tendencje w stosunku do bosko-ludzkiej natury Kościoła, określa je kardynał Suhard następująco: pierwsza jako zapoznawanie elementów wiecznych i transcendentnych w Kościele, druga — jako zapoznawanie elementów doczesnych, aktualnych; przystosowywanie do świata, czy też świadczenie człowiecze. Takie samo stanowisko zajmują, na swój sposób, oponenci kardynała Suharda. Usiłują oni rozróżnić integryzm historyczny z czasów modernizmu od integryzmu współczesnego. Wspólną bazą obu tych kierunków miałaby być chęć bronienia czystej doktryny Kościoła, bez dodatków i amputacji. Podczas gdy jednak integryzm modernistyczny charakteryzował się metodami obmownych oskarżeń, istnienia konspiracyjnego aparatu śledczego, współczesnemu integryzmowi te cechy byłyby obce. Można by się zresztą, zdaniem zwolenników tej interpretacji, zastanawiać, czy jest w ogóle sens w używaniu określenia „integryzm“ w stosunku do ludzi, których istotną cechą charakterystyczną jest pragnienie reprezentowania prawdziwego rzymskiego katolicyzmu bez kompromisów i naleciałości: Cum Petro, in Christo.

Wydaje mi się jednak, że trzeba sięgnąć dalej niż do rozróżnienia między historycznym zjawiskiem, jakim był integryzm z lat 1907—1921 a tendencją trwalszą, z którą spotykamy się również i w katolicyzmie współczesnym. Nie wydaje mi się, by integryzm, jak przedstawiano to powyżej, był przede wszystkim stanowiskiem doktrynalnym; *jest on w pierwszym rzędzie specyficznym sposobem odczuwania i głoszenia katolicyzmu, wyrazem odrębnej mentalności i postawy życiowej, oba razem determinują specjalny sposób bronienia katolickich pozycyj.*

Oceniony z tego punktu widzenia, integryzm wykracza wyraźnie poza historyczne ramy modernistycznego kryzysu. Jest to raczej pewna ludzka skłonność, na którą napotykamy się w związku ze wszystkimi ważniejszymi kryzysami epoki nowożytnej. Gdy cesarzowie Karol Piąty i Ferdynand domagali się, dla podtrzymania wierności katolicyzmowi, zgody na uznanie w krajach niemieckich Komunii Świętej pod dwiema postaciami powstała przeciw temu bardzo ostra reakcja wśród katolików, przede wszystkim w środowiskach hiszpańskich. Głosiły one przeświadczenie, iż zagadnienie Sakramentów nie daje pola do żadnych „koncesji“; iż wszelka polityka, zdążająca do religijnego zjednoczenia, oparta o założenie przyznawania ułatwień, byłaby polityką z gruntu fałszywą; że ci, którzy opuścili Kościół Katolicki dla herezji protestanckich nie zasługują na żadne względy, ułatwiające powrót itd. Rzecz oczywista cały ten spór nie dotyczył w ogóle doktryny Kościoła — Stolica Apostolska zresztą z czasem zgodziła się na Komunię pod dwiema postaciami. Był to wyłącznie problem dwóch różnych postaw życiowych. Po jednej stronie stali ludzie, w pierwszym rzędzie ci, którzy znajdowali się na placu boju, w bezpośrednim kontakcie z herezją, którzy pragnęli ułatwić zjednoczenie chrześcijan poprzez umiar w postępowaniu, zwłokę zastosowaną w stosunku do niektórych posunięć, czy też nawet poprzez zewnętrzne, niemerytoryczne koncesje. Po drugiej zaś stronie znajdowali się ludzie, dla zasady wrodzy wszelkim ułatwieniom, pragnący zachować wszelkie trudności religijnych zobowiązań, czasami je nawet celowo powiększać. To ta ostatnia tendencja, zwycięska wraz z kardynałem Petro Caraffa, późniejszym papieżem Pawłem IV, przyczyniła się do usztywnienia stanowisk Kontr-Reformacji.

Wiek XIX w specjalnej mierze przyczynił się do sprecyzowania i zaostrzenia skrajności tych dwóch przeciwstawnych stanowisk. Spowodowały to problemy, jakie wyłoniła z siebie Wielka Rewolucja Francuska: nie tyle jako zjawisko polityczne, ile raczej jako zjawisko duchowe. Rewolucja ta stworzyła bowiem realne warunki wpływu na wszystkie dziedziny życia publicznego i społecznego tym tendencjom, które już od przeszło wieku ożywiały świat nowożytny w duchu obcym, jeśli nie wręcz wrogim katolicyzmowi. Została wówczas postawiona katolikom alternatywa wyboru nie tyle między filozofią jakobińską a wiarą katolicką, ile uznania za wartościowe całego szeregu zjawisk wchodzących w skład współczesnego świata, lub kategoryczne odrzucenie samej zasady takiego postępowania.

Przez długi bowiem okres Rewolucja Francuska oznaczała coś znacznie głębszego, niż zniesienie przywilejów, Republika to znacznie więcej niż po prostu określony ustrój polityczny. Pojęcie świata nowoczesnego zawierało w sobie coś więcej niż zespół nowych warunków życia i wyczulenie życzliwe dla pewnych, nowych wartości. Te wszystkie wielkie pojęcia, które przemieniały się zwolna w rzeczywiste mity, implikowały w praktyce światopogląd, odrzucający wszelkie poddawanie się autorytetowi wyższemu ponad jednostkowe sumienie: negację obejmującą w pierwszym rzędzie istnienie władztwa Bożego, zwłaszcza Boga Objawiającego.

Katolicy z tego okresu niestety, zamiast pójść za przykładem ludzi rozsądnych, jak Lacordaire, którzy dochowywali jednocześnie wierności Bogu i duchowi swoich czasów, często zajmowali stanowiska, które tylko pogłębiały istniejące nieporozumienia. Gdy jedni, idąc za przykładem Lamennais przyjmowali całokształt poglądów jakobińskich, nie zadając sobie trudu na dokonywanie najelementarniejszych nawet rozróżnień, inni idąc z kolei za przykładem Venillota, a następnie konserwatystów w III Republice — odrzucali generalnie „zdobycze współczesności“, stając się dzięki temu wrogami tego świata, któremu Kościół miał właśnie głosić Ewangelię. Historia walk, toczących się wokół katolicyzmu francuskiego w okresie 1871—1945 — to historia powolnego, lecz skutecznego postępu myśli zdrowej, rozsądnej nad sektaryzmem, reprezentowanym przez oba skrzydła.

WSPÓŁCZESNOŚĆ — DYLEMAT CHRZEŚCIJAŃSTWA

U wielu katolików, na tle niedostatku „rezerw moralnych“, braku dostatecznej odwagi oderwania się od psychozy celów najbliższych, obrona idei chrześcijańskich przybierała często charakter wyłącznie polityczny. Było to prawdziwą tragedią. Jedni szczerzy katolicy twierdzili: jeśli zgodzicie się ze światem współczesnym, z republiką, z pojęciami jakie one wnoszą — podważycie chrześcijaństwo. Inni katolicy, nie mniej szczerzy, lecz inaczej pojmujący służbę tej samej sprawie, stwierdzali: zwalczając republikę i świat współczesny pogłębiacie nieporozumienie, dzięki któremu wasi przeciwnicy nabierają przeświadczenia, iż można być postępowym i nowoczesnym republikaninem tylko zwalczając katolicyzm...

Dzięki tym skrajnościom rozdział między katolikami nie tylko utrwalał się, ale jeszcze się pogłębiał. Był to ciągły konflikt między tymi, którzy pragnęli „opuszczać zwodzone mosty“, by mieć możność dostępu do współczesnego świata, a tymi, którzy nie tylko pragnęli zachować mosty podniesione, ale ponadto chcieli jeszcze umacniać mury i pogłębiać fosy, by „świat współczesny“ nie miał do Kościoła dostępu. Pierwsi jednak widzieli w „świecie współczesnym“ przede wszystkim historyczną epokę, ze swymi urządzeniami, swymi wartościami, swymi nadziejami; drudzy natomiast ograniczali to pojęcie do elementów nie-chrześcijańskich, czy nawet anty-katolickich Rewolucji czy Republiki. Pierwsi więc, godząc się na Rewolucję czy na Republikę uchodzili w oczach drugich za zdrajców lub co najmniej za odpowiedzialnych za niebezpieczeństwa wpuszczania do wnętrza twierdzy konia trojańskiego; ci ostatni zaś, sprzeciwiający się wszystkiemu dla posiadania pewności iż nie będą paktować z anty-chrześcijaństwem, odcinali się sami od współczesności, zaprzeczali katolikom prawa, które w oczach wielu było po prostu obowiązkiem: móc należeć w pełni do swego wieku, wyłączywszy grzechy jego, móc z nim dzielić wartości, nadzieje, osiągnięcia.

Nieporozumienie tragiczne, na którym zaciążył ponadto ostatni paragraf Syllabusa! U źródeł tego konfliktu leżały powikłania ideologiczne Wielkiej Rewolucji, wynikłe same z niejasności „ancient régime“ i współczesnego mu chrześcijaństwa, w których sprawa Boska i sprawa Cezarów połączyły się w historycznej symbiozie.

Z powyżej wymienionych przyczyn dwie cechy charakterystyczne zaznaczyły to przeciwstawianie się tendencyj, a zwłaszcza te tendencje, które ożywiał integryzm:

1. Tendencje te doprowadzają do postaw totalnych; wiążą się one ściśle z całym sposobem bycia, z wychowaniem, temperamentem, z przeświadczeniami. Są one tak dogłębne, iż docierają do samej istoty życia intelektualnego i moralnego.

2. Zwłaszcza po stronie konserwatystów wiążą się one z pewną postawą polityczną. Mówię: zwłaszcza po stronie konserwatywnej czyli integrystycznej, gdyż tam właśnie sposób bycia wiąże się najbardziej z określonymi pojęciami i przekonaniami.

Przyjmować postawę przychylną, lub chcieć być z zasady przychylnym rzeczywistości świata współczesnego — to nie wymaga samo przez się wyboru konkretnych przekonań osobistych lub politycznych. Przeciwstawianie się natomiast współczesności, Rewolucji, republice, rozumianych jako konkretne, historycznie określone rzeczywistości — wymagało nieuchronnie by obstawać za czasami przeszłymi, manifestować swą solidarność duchową i czynną z przeszłością. Właśnie dlatego integryzm wiązał się zawsze z tendencją do postawy prawicowej, konserwatywnej, co zresztą potwierdzają nawet najbardziej powierzchowne obserwacje.

Obie te cechy charakterystyczne — sposób bycia i orientacja polityczna — dały w konsekwencji predominującą rolę w tym sporze poszczególnym ludziom, indywidualnościom. Przeciwstawienia były totalne, gdyż były one wyrazem osobistej postawy ludzi, wszędzie takich samych, obdarzonych podobnymi temperamentami, podobnymi przekonaniami. Między takim człowiekiem jak np. kard. Newman z jednej strony a kard. Manning z drugiej — przeciwstawności były całkowite. Wspólna była ich wiara, kapłaństwo, głębia charakteru i inteligencji, narodowość, kultura — jednym słowem wszystko. Byli oni niemniej całkowicie różni, przeciwstawni, również we wszystkim przez sam sposób przeżywania, ustosunkowywania się do wszystkiego, a zwłaszcza do współczesności. Ludzie zaś przeciwstawiają się sobie przede wszystkim przez sam sposób bycia i przeżywania. Katolicy francuscy z Kanady na przykład mają przecież też wspólne pojęcia z katolikami irlandzkimi, niemniej przychodzi im z wielką trudnością rozumieć się nawzajem, gdyż różni się zasadniczo ich podejście do świata.

Ta przeciwstawność w stosunkach między ludźmi staje się łatwo nie do pokonania. Gdy zaś ludzie na tej zasadzie łączą się w grupy — staje się nie do przezwyciężenia. Poczucie zespołowości, postawa grupowa w sposób ostateczny likwiduje możliwości godzenia się, które wykorzystać można zawsze pomiędzy jednostkami. Grupy przeciwstawiające się sobie wydają się zawsze groźniejsze, wywołują atmosferę rozgrywki, nieufności, intrygi.

Tą drogą właśnie doszło do powstania głębokiego przeświadczenia o złowrogich intencjach, psychozy daleko posuniętej nieufności pomiędzy zespołami katolików-integrystów, a zespołami katolików pragnących żyć we współczesności. Katolicy-integryści z jednej strony żyją w ciągłej obawie, by przez opuszczone mosty wróg nie dostał się do wnętrza ich twierdzy, żyją w przeświadczeniu, że przeciwnicy ich paktują z błędami, węszą wszędzie najmniejsze powiewy herezji. Z drugiej zaś strony — katolicy pragnący żyć we współczesności, ostrzeżeni doświadczeniami, które bynajmniej nie są zmyślone, podejrzewają stale integrystów o próby oszkalowania ich wobec Stolicy Apostolskiej. Rzecz oczywista powoduje to w konsekwencjach poczucie podejrzliwości, połączone z pewną pogardą, pobudzaną kompletnym brakiem zrozumienia historii u integrystów, łatwością wygłaszania sądów „a priori“, z tej niewiedzy wynikających. Integryści w odwet, uświadamiając sobie dyskwalifikującą treść stawianych im zarzutów, wzmacniają swe ataki, obostrzają swe zastrzeżenia dogmatyczne, swą nieufność, swe wątpliwości.

„STRONNICTWO PORZĄDKU“

Cóż się składa na tę dogłębną postawę prawicową, wyrażającą się na polu religijnym — w orientacji integrystycznej?

Mówiono niegdyś, że człowiek prawicy przedkłada ład ponad sprawiedliwość, lewicowiec — sprawiedliwość przed ładem. Nie sądzę, by zainteresowane strony pogodziły się z taką charakterystyką. Wydaje mi się jednak, że można określić prawicowość jako tendencję do ochrony istniejącego porządku. Prawicowość cechuje też cnota ładu i wierności, co zresztą znaczyło by wiele, gdyby było jeszcze ozdobione chrześcijańskim miłosierdziem. Prawicowość jest jednak za porządkiem narzuconym z góry, ustalonym autorytatywnie, na zasadzie reguł przyjętych a nie rozważań. Gdy się, na przykład, czyta Venillot'a — „L'illusion liberale“ odnajduje się tam typowy dla integryzmu kult dla decyzji odgórnych, by wszystko było dane i ustalone odgórnie, w formie praw, autorytetów, dogmatów, nienaruszalnych tradycji; daleko idąca nieufność zaś w stosunku do wszystkiego co wychodzi od samego człowieka. Brak zaufania w stosunku do współczesności, do ducha czasów, sympatia dla „silnej ręki“, dla wszelkich metod i aktów władczych.

Ten stan rzeczy wyjaśnia nam pewne codzienne obserwacje. Zdarzają się czasem ludzie z prawicy posiadający umysł otwarty, szlachetne i wartościowe dążenia społeczne; jeśli są katolikami i poddają się przykazaniom swej wiary. Niemniej jednak masy społeczne nigdy nie mają przeświadczenia, by stali oni po ich stronie. Posądzą ich zawsze o tendencje paternalistyczne. Wynika to stąd, że prawicowcy ci, jako

Tłum. W. Zegocki

POSTAWA KATOLIKÓW

ludzie „stronnictwa porządku“ przeświadczeni są o tym, że liczą się tylko względy zewnętrzne i że zrobione będzie dobrze tylko to, co wynikać będzie z rozkazu do wykonania. Ludzie z prawicy nie mają zaufania do człowieka, wobec nowych pomysłów lub nowych postulatów zajmują instynktownie postawę negatywną, a w najlepszym razie pobłażającą. Wielbią jednym słowem zasadę hierarchiczności, lecz czyż życie, w tym co wnosi wartościowego, zawsze tę zasadę szanuje?

Kościół Katolicki jest w swej strukturze hierarchiczny, a przez swe prawa — tradycjonalistyczny. Wielu więc katolików na tej zasadzie powiązało razem swą postawę prawicową i swą wierność Kościołowi. To przestawienie pojęć leży właśnie u źródeł integryzmu. Pewien fałszywy sposób pojmowania elementu „pozadoczesnego“ i zwalczania, w imię tego wszelkiego „naturalizmu“ tam, gdzie stwierdzamy w rzeczywistości tylko zdrowe przejawy natury ludzkiej — to dalsze konsekwencje tego samego błędu.

Opisowa definicja integryzmu, po dana przez O. Nell-Breuninga wydaje mi się wyjątkowo udana: „pojęty jako system totalny, integryzm, pragnie przekształcać lub określać wszelkie dziedziny życia wychodząc z płaszczyzny (specyficznie i wyłącznie) katolickiej“. Myślę, że tu właśnie jest istota zagadnienia i że integryści sami nie poczują się tą definicją skrzywdzeni czy umniejszeni. Właśnie pod tym względem wydają się nam być specyficznie ludźmi z prawicy. Odrzucanie przez nich współczesności, zamiłowanie dla wszystkiego, co ustalone jest odgórnie i autorytatywnie, wynika w istocie z postawy nieufności i niedoceniania w stosunku do wszystkiego co byłoby wkładem samego człowieka, rozwinięciem czy odbiciem tego wkładu w dziejach.

Im częściej się nad tym zastanawiam, tym bardziej dochodzę do przeświadczenia, że świat współczesny, jako zjawisko generalne, można by określić jako, tak bym to nazwał:

„ODKRYCIE PODMIOTU“

Średniowiecze i czasy „ancient régime“, które należy traktować jako jeden okres, posiadający jednolitą koncepcję światopoglądową, mogą być scharakteryzowane dwoma przymiotami: 1. *obiektywizm*. Nie jest to ważne, myślano wówczas, przez kogo i jak coś zostało wypowiedziane. Co jest ważne, to tylko obiektywna prawdziwość tego sądu, prawdziwość w stosunku do najwyższych norm. Dlatego też ten okres mało interesował się czynnikiem psychologicznym i historycznym. 2. *tradycjonizm*. Ideałem jest nie tyle nowość co trwałość — stawiać kroki ściśle po śladach poprzednich pokoleń. Średniowiecze i „ancient regime“ są też okresem poszanowania autorytetu.

Świat nowożytny, którego datę powstania ustala się, w zależności od kryteriów, począwszy od końca XII wieku aż do r. 1680. poprzez początek XIV w., czasy Odrodzenia, odkrycie Ameryki, Reformację itd. — charakteryzuje się cechami przeciwstawnymi poprzednim: 1. *odkrycie podmiotu* i jego roli. Odkrycie człowieka, jego możliwości, roli jaką mogą odgrywać jego predyspozycje w rozumieniu a nawet w tworzeniu prawdy, zainteresowanie prze jawiające się w stosunku do jego działalności. W ostateczności można by było sprecyzować stanowisko odwrotne do średniowiecznego: — nie obchodzi nas w istocie, czy to jest prawdą, czy fałszem, interesuje nas za to, jak to zostało stwierdzone, wypowiedziane... Psychologia i historia interesują też często współczesnych. 2. *poszukiwanie nowości*, zainteresowanie dla tych nowych osiągnięć. Tu też można dojść do stanowiska przeciwstawnego średniowiecznemu — przeszłość uważa się za rzecz przedawnioną. Ideałem jest właśnie iść własnymi, a nie poprzednimi śladami.

Tendencja ta przybrała w pewnej chwili niewątpliwie cechy przesadne, jeśli nie chorobliwe. Dziś można to łatwo stwierdzić, spróbowaliśmy już gorzkich owoców z tego drzewa. Punkt widzenia podmiotu zamienił się na kantowski subiektywizm, na ślepe wywyższanie wszystkiego co od człowieka pochodzi — Rousseau, w odrzucaniu w zasadzie wszystkiego, co nie wynika z własnego doświadczenia. Wiele jednak spośród umysłów rozsądnych, wielu katolików stwierdziło, że jest część prawdy w punkcie widzenia podmiotu, w pierwszym rzędzie w przeświadczeniu o uwarunkowaniu poznania i przyzwolenia przez predyspozycje podmiotu. Jest rzeczą godną uwagi, że ci sami ludzie, którzy przyznali prawo istnienia tym poglądom, przyznali również i chrześcijaństwu prawo rozwoju, otwierając tym dostęp do pojęć chrześcijańskcih dla psychologii i historii. Na tym polega wielkie znaczenie Mohlera czy Newmana, dla tej też przyczyny zapewne niektórzy dopatrywali się w tych dwóch nazwiskach, najzupełniej zresztą błędnie, prekursorów herezji modernistycznej. To jednak już Pascal wytyczył drogi dla teologii aktu wiary, stworzył pojęcie apologetyki, które miał następnie rozwinąć Deschamps czy Blondel w jakże zmienionych warunkach. Z końcem XIX w. koncepcje otwarte dla punktu widzenia podmiotu ze wszystkich stron kierują się ku bramom katolicyzmu i domagają się chrztu czy bierzmowania. Pojęcia takie jak „demokracja chrześcijańska“, „nowa apologetyka“, „upominanie się o właściwe miejsce dla historii“ (nie jedno świadectwo dowodzi nam, że nie istniała ona w ogóle wśród elementów kapłańskiego wykształcenia w XIX w.) — to wszystko fragmenty tej jednej, najgłębszej problematyki podmiotu.

Modernizm w istocie powodował się tą samą troską. Jest on próbą wprowadzenia do katolicyzmu punktu widzenia podmiotowego. Opierając się jednak na fałszywych koncepcjach niektórych filozofii i na poglądach liberalistycznego protestantyzmu. nie mógł on być przyjęty przez katolicyzm, chyba, że za cenę porzucenia istoty doktryny Kościoła. Kościół też mógł tylko usunąć te koncepcje ze swego zasięgu, jako obce jego treści, jego strukturze. To wszystko jednak co było wartościowego w postulatach poprzednio wymienionych było poważnie zagrożone reakcją anty-modernistyczną, broniącą przecież czystości katolicyzmu. Mimo tych okoliczności rozeznanie tego co było a co nie było do przyjęcia dla Kościoła, dokonało się nadspodziewanie szybko. Jeśli pojęcia takie jak „chrześcijańska demokracja“, „nowa apologetyka“, „punkt widzenia historyczno-krytyczny“ — oberwały niewątpliwie parę pocisków w bitwie, w której ważyła się wierność katolicyzmu samemu sobie, to jednak przetrzymały załamanie się modernizmu i są dziś raczej w okresie korzystnej dla siebie koniunktury.

ANTY-HUMANISTYCZNA POSTAWA INTEGRYZMU

Oto wnioski do których dochodzimy: Integryzm wywodzi się, naszym zdaniem z postawy prawicowej. Postawę tę cechuje nieufność w stosunku do podmiotu, do człowieka, skłonność do kładzenia nacisku na rozstrzyganie spraw systemem autorytatywnym. Wybiera ona z zasady jako lepsze to co gotowe, określone, co już można tylko narzucić i przyjąć, niż to wszystko, co się dopiero kształtuje, co kryje w sobie jeszcze jakieś niedopowiedzi, co stanowi jeszcze przedmiot badań i rozważań. Postawa ta niechętna jest wszystkiemu, co idzie z dołu, a sprzyja wszystkiemu, co narzucane jest w gotowej formie z góry. Gdy postawa taka odnosi się specjalnie do problematyki religijnej, — wyraża się ona w następujących charakterystycznych elementach:

1. Kładzenie specjalnego nacisku na fakt ułomności natury ludzkiej, na konsekwencje grzechu pierworodnego; potępienie, jako naturalizmu, rzeczy w swej istocie tak niewinnych i zdrowych jak np. sport, czy noszenie krótkich spodenek; podejrzliwość w stosunku do wszystkich dzisiejszych form rozrywek; chętne wywyższanie tego, co wydaje się przeciętnie człowiekowi niemiłym.

2. Sympatia dla apodyktyczności, dla metod autorytatywnych; takie same metody w dziedzinie wychowania.

3. Odrzucenie a priori pojęcia „ewolucja“; daleko idąca nieufność w stosunku do pojęcia „rozwój“; wyrażanie niezadowolenia, gdy mowa jest o „życiu“, lub o „doświadczeniu“.

4. Przeciwstawianie się wszystkiemu, co byłoby ułatwianiem dostępu do chrześcijaństwa, skłonność nie tylko do zachowywania wszelkich stoków urwistych, lecz także i do utrudniania dostępu.

5. Przywiązanie do wyraźnie przeintelektualizowanego pojęcia wiary, bardzo mocne podkreślanie jej charakteru obiektywnego (fides quae creditur), strony dogmatycznej, do przyjęcia przez katolika w formie gotowych sformułowań; antypatia w stosunku do rozważań nad subiektywną rzeczywistością wiary (fides qua creditur) i nad subiektywnymi drogami dochodzenia do niej.

6. Predylekcja dla czynnika racjonalnego, dla dowodów abstrakcyjno-rozumowych; chętne stosowanie dedukcji, natomiast unikanie indukcji, nie odwoływanie się do doświadczenia, do świadectwa sumienia. Przywiązanie do scholastyki; w „filozofii chrześcijańskiej“, odnowionej przez Leona XIII, uznany jest jednak jeden tylko św. Tomasz, z praktycznym wykluczeniem takich myślicieli jak np. św. Anzelm, św. Bonawentura, św. Augustyn. Co do św. Tomasza, to zakłada się, że powiedział właściwie wszystko, co najmniej jeśli chodzi o sprawy najistotniejsze. „Współcześni“ podejrzani są o pełną ignorancję, uważani są za odchylonych we wszystkim, za nie wnoszących swą pracą nic wartościowego, nawet w samym stawianiu problemów. Zresztą same problemy nie stanowią przedmiotu zainteresowania integryzmu. Ważniejsze jest sformułowanie wniosków, bronienie już poprzednio zajętych stanowisk. W stosunku do poglądów obcych, postawa ta nie skłania do rozważania skąd one wynikły, co wnoszą one wartościowego i żywotnego, lecz wyłącznie do ujawniania błędów i rozgromienia ich wychodząc z własnych założeń i definicji.

7. W stosunku do doktryny Kościoła i do Jego dyrektyw praktycznych — stałe podkreślanie ich charakteru autorytatywnego i sztywnego (choćby nawet za cenę utożsamiania ich po prostu z własnymi o tych sprawach poglądami); wyolbrzymianie charakteru ostatecznie determinującego wypowiedzi rzymskie, podczas gdy są one przeważnie raczej dyrektywami dawanymi dla koncepcji i idei rozwijających się już w katolicyzmie, dyrektywami, które jakby maszerują łącznie z tymi ruchami, kierując nimi od wewnątrz. Ujmując rzecz ogólnie — prawda nie jest rozumiana jako pełnia do której się dąży w towarzystwie innych umysłów i we wspólnocie Kościoła, lecz raczej jako wytyczna, schemat, postulat do podania w trybie rozkazującym z jednej strony, a do przyjęcia w formie gotowej z drugiej. Chętnie doszukuje się herezji u tych, którzy jeszcze szukają, rozglądają się za wszelkimi wartościowymi uzupełnieniami, u tych, którzy nie zadawalają się ostatecznymi wnioskami, lecz stawiają również i problemy.

8. Odpowiednikiem tej postawy jest specyficzny gatunek eklezjologii. Kościół jest istotnie rozumiany jako misterium łaski, i życie mistyczne znajduje swe mocne odbicie: pozytywny pogląd na życie duchowe i na boską aktywność w duszy ludzkiej stanowią te czynniki, które pozwalają częściowo na złagodzenie wymienionych powyżej wypaczeń. Wszystko to ogranicza się jednak do dziedziny czysto osobistej; gdy natomiast wyraża się samą eklezjologiczną doktrynę — to czyni się w sposób autorytatywny, zewnętrzny w stosunku do religijnego podmiotu, oraz tak jak gdyby wszystko ustalane było z góry i według ustalonej formuły.

W ten sposób, we wszystkich dziedzinach, postawa ta wyraża zdecydowaną przewagę elementu odgórnego i apriorystycznego.

PRZEMIANY W KOŚCIELE

Cóż wynika z powyższych sformułowań dla interesującego nas punktu widzenia przemian w Kościele, a w szczególności, opozycji przeciw nim? Katolik prawicowy, integrysta, w zasadzie, rzecz prosta nie opiera się przemianom — „Kościół nigdy nie przestał się przemieniać“, stwierdzają integryści. Jeśli bowiem są oni zwolennikami przemian narzuconych odgórnie i to w formie gotowej, to nie są oni bynajmniej zwolennikami formalnej stagnacji. Jednak:

dokończenie na str. 10-ej

Komentarze do artykułu O. Congar

Karol V (1500 — 1558), cesarz hiszpański i władca znacznej części ówczesnej Europy Zachodniej, — próbował realizować ideę uniwersalnej monarchii europejskiej. Pragnąc pozyskać sobie poparcie Niemiec domagał się tolerancyjnej postawy wobec fermentów religijnych, jakie wnosiła w Niemczech działalność Lutra.

Karol Caraffa Jan Piotr, późniejszy papież Paweł IV (1476 — 1559). Odznaczał się bezwzględnością, nietolerancyjną i okrutna walką przeciw Reformacji, Prowadził również wojnę przeciw Karolowi V. bez powodzenia. Nie była to jednak postać wyłącznie ujemna. Potrafił uzdrowić wewnętrzne życie Kościoła, zwalczył symonię, zreformował i podniósł poziom moralny dworu papieskiego.

Ks. Lammenais Robert (1782 — 1854). Duchowny i działacz katolicki. Wyróżnił się postępową i radykalnie społeczną postawą. Od roku 1830 kieruje (wraz z ks. Lacordaire) bojowym pismem: „L'Avenir“ (Przyszłość), broniącym wśród katolików ustroju republikańskiego i idei wolnościowych. Postać tragiczna, w której łączyło się bardzo wiele szlachetności i dobrej woli, z lekkomyślnością i porywczością. Popadał parokrotnie w konflikt z Hierarchią Kościoła. Oskarżony o błędy doktrynalne — nie poddał się orzeczeniu Grzegorza XVI, zrzucił sutannę i umarł niepogodzony z Kościołem.

Ks. Lacordaire Jan Baptysta (1807 — 1861) — Dominikanin, wielki kaznodzieja i organizator zakonu Dominikanów we Francji, działacz polityczny. Przekonaniami społecznymi bliski Lammenais. Odżegnał się jednak od błędów doktrynalnych „L'Avenir“ i prowadził nadal wielką propagandę idei społecznie postępowych wśród katolików francuskich. Był czołowym kaznodzieję w Notre Dame w Paryżu, posłem lewicy republikańskiej, zażartym przeciwnikiem konserwatyzmu i Napoleona III.

Venillot Ludwik (ur. 1813). Katolicki działacz konserwatywny, współczesny Lammenais i Lacardaire. Bezwzględny wróg republiki i obrońca monarchii, walczył o przywrócenie Kościołowi uprzywilejowanej pozycji sprzed Wielkiej Rewolucji. Popierany przez Piusa IX i znaczna część episkopatu Francji. Od roku 1848 jest redaktorem konserwatywnego pisma „L'Univers“. W swych poglądach pełen jednak sprzeczności i skłonny do optymizmu. Zwalczany ostro przez katolickich działaczy postępowych — jak Ozanam, Montalumbert, Lacardaire. Z gwałtownym oskarżeniem, demaskującym szkodliwość postawy Venillot wystąpił wybitny biskup francuski — Dupanloup w liście otwartym: „Ostrzeżenie dla p. L. Venillot“.

Syllabus — dołączony do encykliki Piusa IX „Quanta Cura“ — alfabetyczny wykaz 80 błędnych tez dotyczących Kościoła i Wiary. Pierwsza część Syllabusa odnosi się do zagadnień ściśle filozoficznych i teologicznych, druga do stosunków między Kościołem a państwem, stosunków i pojęć społecznych epoki liberalizmu. Syllabus nie zawiera sformułowań pozytywnych — do przyjęcia dla katolików. Zawiera tylko sformułowania i potępienia tych tez, które są sprzeczne z nauką Kościoła. Stąd wiele nieporozumień w ich interpretacji, gdyż stanowisko katolickie przeważnie nie wyrażało się w antytezie potępionego zdania.

Newman Jan Henryk (1801 — 1890) początkowo duchowny anglikański, następnie nawrócony na katolicyzm — jeden z głównych twórców odrodzenia się katolicyzmu w Anglii. Dzięki jego olbrzymiemu wkładowi w katolicyzm angielski Pius X mógł w roku 1850 przywrócić w Anglii hierarchię rzymska. Równocześnie z N. działał w Anglii drugi konwertyta — *Henryk E. Manning* (1808 — 1892). Obaj zostali kardynałami. Konflikt między Newmanem a Manningiem rozwinął się na dwóch przeciwnych postaw w stosunku do życia. Newman interesował się głównie dogmatyką i mistyką katolicką, podczas gdy Manning był czynnie zaangażowany w ówczesne życie polityczne, precyzował wytyczne polityki konserwatywnej, choć o dużych ambicjach społecznych. Newman niejednokrotnie krytykował nadmierną apodyktyczność sądów politycznych Manninga.

Jan Józef SZCZEPAŃSKI

POLSKA

FRAGMENT



Drogą polną, przytykającą ukośnie do osi naszego marszu, zbliżały się czołgi. Właściwie jeden duży czołg i dwie klekoczące tankietki. Maszyny rzęziły głośno, jakby dobywając ostatków sił. Wzbijany przez nie kurz odkładał się długim, złotawym obłokiem na ścierniska i nie zrzęte jeszcze owsy. Z wieżyczek wystawały nieforemne w swych ochronnych hełmach głowy czołgistów, podskakujące i rozglądające się po pełnym pogody świecie niczym zdumione łby gęsi wytknięte z koszyków.

Patrzyliśmy jak idą naprzeciw, jak zwalniają by przepuścić naszą kolumnę. Nasze czołgi — widok zupełnie niezwykły.

— Będzie przeciwnatarcie — powiedział z głębokim przekonaniem doktór Kurek. — Zobaczycie, że dziś jeszcze ruszymy na zachód.

— Na Berlin — uzupełnił Funt, który jechał właśnie tuż za mną przy dziale. Jednakże optymizm doktora Kurka znalazł wśród obsługi większy oddźwięk niż ironia Funta. Ludzie, oszołomieni początkowo i przerażeni nocną ucieczką, teraz usiłowali znaleźć jakieś krzepiące wyjaśnienie tego co zaszło.

— To tylko manewr — tłumaczył Marchewka, dłubiąc z nonszalancją w zębach. — Przecież pod Aleksandrowem daliśmy im łupnia.

Przytakiwano mu skwapliwie. Aleksandrów! O tak. To było fajne. Czuliśmy wszyscy, że ów ranek piętnastego września, kiedy zajęliśmy stanowiska na wydmie koło samotnej chaty, był dla nas właściwym początkiem wojny. Powrót do żałosnej rutyny bezcelowych marszów wydawał się niepodobieństwem.

Czołgi, nie mogąc doczekać się końca naszego przemarszu, ruszyły polem wzdłuż drogi. Mijały nas, pełznąc powoli, dygocąc i zarzucając płaskimi zadami na spieczonej grudzie. Gorący zapach benzyny wypełnił nam nozdrza wraz z pyłem. — Na Berlin chłopaki, na Berlin! — krzyknął Funt, ale czołgiści i tak nie mogli go dosłyszeć.

×

Kierowaliśmy się coraz wyraźniej ku południowi. Nikt już nie mówił o przeciwnatarciu. W ogóle nie mówiliśmy o niczym. Pociski ciężkiej artylerii niemieckiej przelatywały z wibrującym, niskim świstem nad naszymi głowami i rozrywały się w polu, wstrząsając ziemią. Gdzieś na prawo od nas, poza falującą łagodnie linią wzgórz zrywał się nierównymi podmuchami trzask broni maszynowej i ręcznej. Podobno nasza piechota powstrzymywała napierającego nieprzyjaciela.

Twarze kanonierów były skupione. Za każdym wybuchem odwracali głowy powściągając żywość tego ruchu z widocznym wysiłkiem.

Zjechaliśmy na niskie łąki opodal wsi, wspinającej się wąskimi zagonami na łysy garb terenu, którego grzbietem szła droga, zatoczywszy u dołu szeroką pętlę. Wzdłuż wiklinowych płotów, nad ocienioną szerokimi wierzbami strugą spacerowały spokojnie kury i gęsi, nie zdradzające najmniejszego zaniepokojenia panującą w atmosferze wrzawą. Ludzie jednak nie potrafili ukryć swojej paniki. Widać ich było z tyłu poza chałupami, jak kręcili się tam i sam, dźwigając na plecach jakieś toboły, porzucając je w polu i wracając śpiesznie do domów po nowy ładunek. Na wydłużonych skrawkach ściernisk, o jakie sto metrów od zabudowań, piętrzyły się żałosne kupki nędznego dobytku. Te identyczne niemal, z prostych desek pozbijane komody, skrzynie, stoły i łóżka, wyrzucone teraz z ciemnych izb w pełne światło słonecznego dnia, ukazywały wzruszająco swoją kanciastą brzydotę, swoje kulawe ubóstwo. Nieustannie wracałem ku nim spojrzeniem, zdumiony, że rzeczy te uznano za dość cenne by starać się je ocalić.

Ogień niemieckich dział ucichł na chwilę, a potem granaty zaczęły wybuchać nagle ponad wsią, w pobliżu zapchanej wojskiem drogi. Wciąż jeszcze byliśmy na dole, posuwając się stępem w stronę mostku na przecinającej łąki strudze. Od stoku wzgórza dzielił nas łagodny skręt w lewo, okrążający ostatnie, przycupnięte w dolinie zagrody. Na razie byliśmy tu zupełnie bezpieczni, ale każda sekunda, każdy krok zbliżał nas nieuchronnie do owego miejsca, które obserwator nieprzyjacielski obrał sobie za cel. Przed nami zaprzęgi szóstego palu i jego tabory wspinały się pod górę długim wężem, pełzły mozolnie noga za nogą, przystając i zwiększając odstępy. Strzały, początkowo długie, zbliżały się coraz bardziej do punktu, gdzie skłon przesilał się w obły grzbiet garbu. Rosły tam po obu stronach drogi dwie topole — z daleka widoczna brama.

Marchewka śledził wytryski dymu i kurzu ściągnąwszy brwi i wyszczerzywszy zajęcze, górne zęby. Twarz jego miała wyraz gorliwej pilności, jakby znajdował się na punkcie obserwacyjnym na poligonie. — Długi — mamrotał — długi... długi. Wciąż długi. — Przekroczyliśmy mostek, wyminęliśmy ostatnie domy wsi i teren pod kopytami naszych koni zaczął się wznosić.

— Patrzcie — zawołał nagle Galosz, — patrzcie, Cygany- — Ukosem przez zbocze, brnąc ku drodze na przełaj po ścierniskach i zagonach, toczyły się dwa ciężko wyładowane wozy. W tyle jednego z nich wzdymała się ogromna, czerwona pierzyna, tworząc niepokojąco jaskrawą plamę w monotonii spopielałego krajobrazu. Kilka kobiet o czarnych, lśniących warkoczach, wymykających się spod chustek, szło śpiesznie obok, zamiatając pstrymi spódnicami ziemię. Ciemni mężczyźni w łachmanach przynaglali konie, czereda smagłych, bosych dzieci skakała wokół, jazgocząc piskliwymi głosami.

Marchewka roześmiał się hałaśliwie. — Cygany, jak Boga kocham, Cygany! — Wtem huknęło tuż blisko i wielki, siny pióropusz wyrósł poza dalszą topolą. Najbliższe wybuchu zaprzęgi puściły się galopem, wpadły na następne; kolumna szóstego palu przerwała się i zwęźliła, na drodze powstała szeroka luka. Widać było jak idące z tyłu wozy taborowe dołączają z nerwowym pośpiechem, wśród krzyków funkcyjnych. Nowy wybuch przysłonił na moment oba drzewa. — Krótki — powiedział Marchewka — zaraz powinni trafić.

Obejrzałem się na Cyganów. Ich widok urzekał mnie i zdumiewał. Cóż mieli wspólnego z naszą wojną ci egzotyczni nomadowie? Biegli teraz wymachując rękami, smagali zawzięcie chude szkapy, wznosili gardłowe, niezrozumiałe okrzyki. Pierzyna spadła na grudę, jeden z wyrostków podniósł ją, zarzucił sobie na głowę, doganiał innych długimi susami. Jego cienkie nogi migały groteskowo pod nieforemnym, czerwonym kadłubem.

Ruszyliśmy kłusem. Dwie topole sterczały wprost przed nami. Pierwsze działony naszej baterii przemykały właśnie między nimi z pośpiesznym turkotem i klaskaniem batów. W oczekiwaniu eksplozji przymykaliśmy powieki i wtulaliśmy instynktownie głowy w ramiona. Zaskoczyła nas jeszcze przed fatalnym miejscem. W oślepiającym podmuchu, w tumanie dławiącego ostrym zapachem dymu straciłem rytm, tłukłem przez chwilę pośladkami o siodło podskakujące gwałtownie i chwiejące się na boki. Gardło ściskał mi przypływ śmiechu, znamionującego nagłe odprężenie. Nie trafili jeszcze tym razem. Znowu był krótki.

Ale nim ochłonęliśmy zupełnie, do świadomości mojej przeniknął świdrujący wrzask, wielogłosowy lament, bijący od ziemi z boku. Odwróciłem głowę. W rzednącym obłoku pyłu, na lewo od drogi, dostrzegłem grupę miotających się dziko postaci i wielką plamę cynobrowej czerwieni rozpłaszczoną w pobliżu rowu. Nad tym wszystkim, zamazując kontury i powiększając ogólne zamieszanie unosił się gęsty, biały wir pierza.

Za wsią Długi Kąt wjechaliśmy znów w lasy i tu tląca dookoła bitwa ogarnęła wreszcie baterię. Ale była to bitwa dziwna, rozgrywana w niepokojącej pustce, pozbawiona emocji walki.

Przed nami, aż po horyzont, ziemia wydymała się w nagie i nudne wzgórze. Powietrze falowało nad nim migotliwie i drobno jak płynne szkło. Przez jego gorącą warstwę wszelkie dźwięki dochodziły do nas zdławione, jak głosy, które słyszy się w pół-śnie. Gdzieś tam był nasz punkt obserwacyjny, z którego Redycz śledził kocimi oczyma przebieg niezrozumiałych dla nas wydarzeń. Jeszcze gdzieś dalej walczyła nasza piechota, nie wiadomo — broniąc się czy nacierając. My sami staliśmy na skraju starego, sosnowego lasu. Osiem dział, bo rano, nie wiadomo skąd, dołączyła jeszcze jedna bateria czterdziestego palu. Ogniem na stanowiskach kierował jej dowódca, elegancki porucznik Semenowicz o suchej, bladej twarzy i pewnych siebie ruchach zawodowca. Irytowała go powolność naszej mało zgranej obsługi. Po wydaniu każdej komendy patrzył wyczekującym, chłodnym wzrokiem na porucznika Herbsta, a potem na mnie, krzywiąc wąskie usta z pogardą. Poza tą niemą naganą nic nie przynaglało nas do pośpiechu. Nikt nie ostrzeliwał naszych pozycji, daleka bitwa pomrukiwała ospale jak burza, która na skraju upalnego dnia wzbiera i rozchodzi się bezsilnie, nie mogąc skupić w sobie dość gniewu. Cierpki aromat sosen mieszał się z metaliczną wonią prochu. Byliśmy głodni. Głód tępym kolcem podchodził pod gardło, odbierał siłę ramionom. Niecierpliwie czekaliśmy końca strzelaniny, jakby to były ćwiczenia, w których gwizdek lub trąbka obwieści przerwę.

Tymczasem wysyłaliśmy jedną serię pocisków za drugą poza drzemiący w słońcu stok. Przepadały tam bez odpowiedzi i tylko zmieniające się dane świadczyły o tym, że istnieje jednak jakiś cel poruszający się i żywy. W tym jałowym trudzie czas stanął. Biała tarcza słońca tkwiła jak krążek przezroczystej błony u szczytu nieba, nieruchoma, roztapiająca się we własnym żarze.

Zażądano od nas szrapneli i teraz, ponad samym horyzontem widzieliśmy szare kłaczki ich wybuchów. Potem, niespodziewanie kazano nam przerwać ogień. Porucznik Semenowicz wezwał do siebie dowódców plutonów. Naradzali się nad czymś, zaglądali do swoich notesów z zasumowanymi minami. Porucznik Herbst wrócił wkrótce do nas i kazał działonowym podać stan amunicji. Było tego bardzo niewiele. Najczęściej używanych granatów wzór siedemnaście zostało zaledwie kilka sztuk. Kiedy oficerowie zebrali się ponownie wokół aparatu telefonicznego, nieprzyjaciel przemówił nieoczekiwanie. Bez komendy rzuciliśmy się z powrotem do dział, zapominając odrazu o zmęczeniu i głodzie. Las w głębi za nami szumiał przez chwilę falą huków i trzasków. Spomiędzy pni zaczęły sączyć się smugi pachnącego magnezją dymu. Czekaliśmy teraz w napięciu na jakiś rozkaz. Druga i trzecia salwa zagrzmiały wśród sosen skłóconym, łamiącym się echem. Potem nastała cisza, tylko na dalekim przedpolu grzechotały uparcie karabiny maszynowe.

— Do dział! — zawołał wreszcie Semenowicz, chociaż wszyscy staliśmy od dawna na swoich miejscach. Zaczął dyktować z namysłem słowa nowej komendy, powtarzane monotonnie przez dowódców plutonów. Przekazywałem je z kolei obsłudze mojego działa, ciesząc się, że tym razem dość będzie czasu na wykonanie wszystkich czynności. Ale kiedy przyszło do podania celownika, głos oficera ogniowego zamilkł. Kanonierzy zastygli niepewnie w pół ruchu, jakby ustawieni do żywego obrazu, ilustrującego regulaminowe ładowanie działa. Cisza przedłużała się nienaturalnie. Słyszeliśmy jak anemiczny trzask bitwy rwie się, zamiera, dryfuje coraz bardziej ku południowi. Artyleria niemiecka odezwała się znowu, ale tym razem gdzieś daleko, na lewo od nas. Zaczynaliśmy rozumieć, że nasz udział w tym wszystkim nie jest już ważny i napięcie rozpływało się w tej świadomości. Głód znowu stawał się dominującym uczuciem.

Tymczasem porucznik Semenowicz, odebrawszy słuchawkę telefonu z rąk kaprala, klęcząc przemawiał w w jej tubę, przytakiwał i potrząsał głową. zaglądał do notesu, zapomniawszy najwyraźniej o gotowych do strzału armatach. Nagle podniósł się i zdecydowanym ruchem zapiął mapnik, który otwarty dyndał mu na piersiach. — Odbój, przygotowanie do marszu! — zawołał.

Jednakże na drodze wiodącej w głąb lasu, przy wyciągniętych w kolumnę zaprzęgach zaczęło się znowu czekanie. Sądziliśmy, że ruszymy gdy zjawi się Redycz i zwiadowcy z punktu obserwacyjnego. Potem, kiedy wszyscy już byli na miejscu, a my czekaliśmy nadal, z ust do ust zaczęła szerzyć się plotka, że pewnie dostaniemy obiad. Nadzieja rozproszyła nudę ale wzmogła jeszcze niecierpliwość. Wreszcie dowódcy plutonów zarządzili zbiórkę działonami i poprowadzili nas ku zarośniętej borówkami kotlince, gdzie wśród rzadko rosnących, ogromnych drzew stało kilka chłopskich wózków, stanowiących obecnie nasz tabor. Przypuszczenia nasze zaczęły nabierać cech pewności. Będzie obiad. Misiąg musiał coś wykombinować. Ustawieni w dwuszereg na wąskiej ścieżce węszyliśmy czujnie i wypatrywaliśmy upragnionego dymku kuchni polowej. Ogniomistrz-szef pojawił się przed frontem. Poważnie przechadzał się tam i z powrotem na chudych, szczudłowatych nogach, tuląc pod pachą czarną księgę, tchnącą z daleka nudą koszarowych obrządków. Ludzie przyglądali mu się z niedowierzaniem, rzucali sobie nawzajem podejrzliwe spojrzenia. Raport? — Zapomnieliśmy już niemal, że coś takiego istnieje.

Nie myliliśmy się jednak. Po chwili zjawił się Redycz, a porucznik Florczak zameldował mu baterię gotową do raportu. Teraz przyszła kolej na ogniomistrza Misiąga. Zanim przystąpił do czytania rozkazu dziennego przyjrzał się nam świdrującym, nieprzychylnym okiem, szukając z przyzwyczajenia oberwanych guzików, nieogolonych twarzy i zabłoconych butów. Musiał przy tym dokonać jakiegoś zdumiewającego odkrycia, bo szpiczaste ramiona podskoczyły mu nagle nieopanowanym, samoistnym ruchem, jakby przeniknął je zimny dreszcz. Szybko opuścił głowę i otworzył swą księgę, ratując się ucieczką w bezpieczny, choć nierealny świat dawnej rutyny.

Treść rozkazu zadziwiła nas wszystkich brakiem jakiegokolwiek praktycznego znaczenia. Była tu mowa o tym, że zostaliśmy wcieleni w skład szóstego palu, o czym każdy już wiedział, oraz że działony piąty i szósty przemianowane zostały na skutek utraty dwóch dział na trzeci i czwarty. Następnie informowano nas, że porucznik Redycz mianowany został dowódcą baterii, a porucznik Florczak jego zastępcą i dowódcą pierwszego plutonu. Poprzez pełne namaszczenia i wadliwych akcentów dukanie szefa słyszeliśmy odgłosy trwającej nadal walki. Było w tym coś podejrzanego, jakieś dziwne mieszanie rzeczywistości, którego celu nie mogliśmy odgadnąć. Żaden jadalny zapach nie dochodził do naszych nozdrzy, tylko sosny pociły się cierpką, aromatyczną żywicą.

„W stan oskarżenia o dezercję — czytał Misiąg — postawieni zostali...“ nastąpiła długa lista nazwisk, wśród których nie brakowało Stumpfa, Lilienfischa i Piontka. „Wymienieni, po ujęciu przez organa żandarmerii odpowiadać będą przed sądem polowym.“ Dalej ostrzegano nas przed szpiegami, prowokatorami i siewcami panicznych pogłosek oraz przypominano nam o obowiązku zachowywania tajemnicy wojskowej. Skończywszy, szef podniósł oczy znad książki i zamrugał niepewnie powiekami, jak człowiek budzący się ze snu. Ale nawyk długich lat opanował go już swym ustalonym jak pacierz rytmem i żadne okoliczności zewnętrzne nie miały nad nim władzy.

— Służba ustępująca, służba obejmująca, raport, raport karny... — recytował gromko. — Nie trzeba szefie, — mruknął Redycz. — Prośby, zażalenia wystąp! — Redycz machnął ręką z rezygnacją. Przez chwilę szereg stał nieporuszony, aż wreszcie, ku ogólnemu zdziwieniu, jakiś bombardier z pierwszego plutonu wyszedł przed front i trzasnął desperacko zakurzonymi buciskami. Redycz podszedł do niego powoli, uniósłszy pytająco brwi i pochyliwszy lekko głowę na bok, jak ktoś, kto nie bardzo dobrze słyszy. Bykowiec u jego pasa pląsał jadowicie przy każdym kroku. Żołnierz zaczerwienił się po uszy. — Panie poruczniku — rzekł głosem krzykliwym z zakłopotania — melduję posłusznie, że nie jedliśmy śniadania ani obiadu i że w ogóle z aprowizacyją jest całkiem źle.

— To wszystko? — zapytał Redycz. — Nikt więcej nie ma żadnych zażaleń? — Ruszył wolnym, skradającym się krokiem wzdłuż frontu i kolejno zaglądał ludziom w oczy. W drugim szeregu rozległy się jakieś przyciszone pomruki, ale nikt nie wystąpił, ani nikt nie odezwał się słowem. Oficer wrócił do milczącego bombardiera i stanął przed nim ze splecionymi na plecach dłońmi. — Tylko wy jedni się skarżycie — rzekł, — a przecież nikt nie jadł dzisiaj w baterii. Ja też nie jadłem. A może myślicie że mam pełne sakwy konserw i że obżeram się po kryjomu? Myślicie tak? No? Pytam was.

— Melduję posłusznie panie poruczniku, że nie myślę — wyjąkał bombardier. — Ale pan szef... — dodał po chwili, czerwieniąc się jeszcze bardziej.

— No, co pan szef? Macie skargę na pana szefa?

— E... szkoda gadać, panie poruczniku.

Chłodny uśmiech zniknął nagle z twarzy Redycza, jego oczy stały się wąskie jak szparki. — Jak szkoda gadać, to nie warto gęby otwierać — krzyknął. — Schowajcie sobie swoje donosy! Zapomnieliście, zdaje się, że jest wojna. Dlaczego nikt nie poskarży się, do choroby, że brakuje amunicji? Nie mogliśmy dziś udzielić należytego wsparcia naszej piechocie, bo w jaszczach pustki, ale to was gówno obchodzi. Kałdun, to najważniejsza sprawa! — Nagle uspokoił się, twarz złagodniała mu, stała się prawie życzliwa. — Wstąpcie — rzekł do bombardiera, a zwracając się do całej baterii dodał: — obiecuję wam, że dostaniemy dziś obiad i amunicję. Ciemną dłonią potarł czoło, wreszcie zdjął hełm i



JESIEŃ POWIEŚCI

przygładził kasztanowate, zgniecione jego ciężarem włosy. — Słuch ie chłopcy, — zaczął tonem, pozbawionym wszelkiej oficjalnej gburowatości, — każdy z was widzi, że nie wszystko idzie jak w maszynie. Trudno, nic na to nie poradzimy. Możemy tylko starać się aby w naszym oddziale nie było bałaganu, aby panowała dyscyplina i koleżeństwo. Uczono nas słuchać i walczyć, wydawano na nas pieniądze nie po to, żebyśmy raz na rok maszerowali w defiladzie, ale żebyśmy w chwili niebezpieczeństwa bronili naszego kraju. Ta chwila nadeszła... Zresztą, co tu dużo gadać! Każdy rozumie chyba, że tu nie tylko o obowiązek żołnierski chodzi. Chciałbym powiedzieć wam tylko jedno: dopóki się wierzy w słuszność sprawy, wszystko inne jest nie ważne, a walka jest rzeczą tak prostą i konieczną jak oddychanie. — Umilkł, a na jego zdecydowanej, nie znającej wątpliwości ani zadumy twarzy odmalowało się coś na kształt zdziwienia. Potrząsnął głową i wyprostował się, jakby do wydania rozkazu, ale jakaś myśl musiała nurtować go jeszcze, bo nie kazał nam rozejść się, lecz po chwili zaczął mówić dalej, tym razem z irytacją, która wzrastała z każdym słowem.

— W dzisiejszym rozkazie usłyszeliście rzecz bardzo przykrą i haniebną. Mam nadzieję, że bateria oczyściła się już z szumowin, z draniów i zdrajców, którzy w niej byli. Sąd polowy załatwi się z nimi. Sąd polowy... — nagle policzki pociemniały mu, a górna warga uniosła się skurczem wściekłości, odsłaniając błyszczące, psie zęby. — Na wojnie nie zawsze można się bawić w takie rzeczy — rzekł zduszonym głosem.— Ja też mogę być sądem polowym, jak co do czego przyjdzie. Nie będę się na nikogo oglądał. Pamiętajcie to sobie: ja potrafię gościa wykończyć! Wspiął się lekko na palce, jakby podniosła go fala gniewu. Potem wyciągnął z kieszeni na piersi grzebień i zaczął czesać swe sprężyste, gęste włosy, mrużąc za każdym ruchem oczy jak głaskany kot. — I to nie jest dla mnie żadna nowina — zakończył z uśmiechem pełnym złej chełpliwości. Uśmiech ten był tak przekonywający, że wzdrygnąłem się mimo woli. Przypomniały mi się czyjeś zgięte plecy, zarys nieogolonego policzka w ciepłym półmroku. Jakżeż on się nazywał? Gut — Benon Gut! Czyżby on...?

Szefie dajcie się rozejść! — warknął Redycz.

×

Od paru dni noce były przejmująco chłodne i jasne od pełni. Rankiem brodziliśmy w rzadkich mgłach, a świat cały ociekał zimną rosą. Gałęzie drzew oplątywały ogromne pajęczyny, uginające się od srebrnych kropel. Chociaż liście nie pożółkły jeszcze, a we dnie upał wysuszał ziemię na popiół, w powietrzu taiła się już zrezygnowana cisza jesieni — dziwne i smutne tło wrzawy, wypełniającej każdą wojenną godzinę.

Moja sława poligloty, zdobyta dzięki wysłuchaniu komunikatów na pozycji pod Niskiem, otwarła mi dostęp do taczanki radiowej. Od tego czasu udało mi się przedrzemać wygodnie kilka nocnych marszów na resorowanym siedzeniu tej bryczuszki, idącej tuż za zwiadem. Miało to i swoje złe strony. Nie mogłem, tak jak inni, łudzić się beztrosko nadzieją przeciwnatarcia, ani budować mojej ufności na mirażu państwowości polskiej, ponoszącej wprawdzie porażki, ale trwającej nadal w abstrakcyjnej sile swego autorytetu, wyposażonej w aparat funkcjonujących urzędów i sztabów, wspartej sojuszami i sympatią największych potęg świata. Nikłe, brzęczące w słuchawkach głosy przyczyniły się do powstania w moim umyśle przerażająco chaotycznego obrazu. Polska wyglądała jak wygryziony płatek szwajcarskiego sera. Nie mogłem pojąć co spaja jeszcze zdrowe skrawki jej miąższu. Wiedziałem, że broni się jeszcze Oksywie i Hel i że nadal trwają uparte walki nad Bzurą, ale w komunikatach wymieniano już także Warszawę i Modlin, a nawet była mowa o uderzeniu niemieckim na Lwów. Widocznie owa wiara w dobrą sprawę, wyświechtany na pozór slogan, którym Redycz posłużył się przy rozkazie, była rzeczą bardziej realną niż wypracowane plany sztabowców.

Wieczorem zostawiłem działon pod opieką Marchewki, łasego na każdy okruch dowodzenia, a sam pobiegłem na czoło kolumny żeby zająć miejsce na skórzanej kanapce koło radiooperatora. Spod budy wychyliła się jednak ku mnie ściągnięta gniewem twarz Redycza. — Pańskie miejsce jest przy działonie — rzekł, — nie chcę żadnego łazikowania po baterii. Zrozumiałem, że owa „wiara w dobrą sparwę" powinna wystarczyć jemu i mnie i nam wszystkim. Zresztą nad całą tą historią rozsunęła się jakaś zmowa milczenia. Każdy chował dla siebie swe podejrzenia, swą niepewność lub swój entuzjazm. Nie było innego wyjścia jak przylgnąć jeszcze mocniej do bezpośredniej, otaczającej nas rzeczywistości, dopóki upragniona pomoc z zewnątrz nie objawi się nam warkotem samolotów z którejkolwiek strony nieba. Poza tym pełna niedostatków codzienność zacieśniała skutecznie pole naszego widzenia. Ani rozkaz dzienny, ani gęsi na obiad nie weszły w zwyczaj i zaraz nazajutrz głód zagościł po dawnemu w baterii. Do południa nie mieliśmy nic w ustach prócz kurzu, a na dodatek trapiło nas pragnienie, bo wszystkie napotkane studnie wybrane były do błotnistego dna przez przechodzące wcześniej oddziały. Dopiero koło drugiej godziny zatrzymaliśmy się nad małym strumykiem, płynącym wzdłuż piaszczystego, porośniętego karłowatym laskiem wału. Funt, który na własną rękę zdążył już przeprowadzić rozpoznanie sytuacji, ostrzegł nas, że nie ma co liczyć na kuchnię polową. Wszędzie wokół zapłonęły po krzakach małe ogniska, na których pitraszono jakieś zdobycze niewiadomego pochodzenia. Nie pomogły nic krzyki oficerów, że dym zdradzi nas lotnikowi. Zresztą oni sami musieli wkrótce dać za wygraną, bo od niedalekiego zagajnika wznosił się ciężki czarny dym, cuchnący ropą i widoczny napewno z odległości wielu kilometrów. Przechodzący od tamtej strony piechurzy powiedzieli nam, że to czołgiści palą swoje maszyny, ponieważ zabrakło im paliwa na dalszą drogę.

Wysłałem cichaczem Kantera i Sławika od pobliskiej wioski, w której zauważyłem poprzednio kilka kur, wałęsających się między opłotkami. Kazałem im też nakopać ziemniaków. Jeszcze parę dni temu pomysł taki nie przyszedłby mi do głowy, ale teraz nie czułem najmniejszych skrupułów. Rzecz wydawała się zupełnie naturalna i usprawiedliwiona. Czekaliśmy właśnie z niecierpliwością na powrót owego „patrolu żywnościowego", który marudził nieznośnie. Od strony chałup słychać było wściekłe ujadanie psów i piskliwy jazgot jakiejś kobiety. Nie wytrzymałem wreszcie i sam poszedłem przekonać się co się tam dzieje. Spotkałem moich wysłańców na skraju pola. Wracali z pustymi rękami, milczący i speszeni.

— Łajzy cholerne, głupiej kury nie potraficie złapać- — zawołałem, czując jak boleśnie kurczy się mój żołądek.

— To przez onego — rzekł Sławik i wskazał Kantera palcem. — Chyciliśmy fajnego kokota, ale on go oddał.

Mały wręczyciel stał przede mną ze spuszczoną głową. Rudawy zarost na policzkach podchodził mu pod same oczy. Przypomniałem sobie, że w koszarach twarz jego była okrągła i czerstwa; teraz wyglądała nędznie: zżółkła, wokół ust potworzyły się głębokie bruzdy. W całej postaci było coś z zabiedzonego osiołka o wypukłym czole.

— Cóż to miało znaczyć, do licha! — rzekłem, rozgniewany mimowolnym przypływem sympatii.

— Ona tak płakała, ta kobieta, — wyjaśnił nie podnosząc oczu. — Jej wszystko zabrały nasze żołnierze, a jej mąż jest na wojnie, tak jak my, panie podchorąży. — Końcem buta zaczął żłobić w piasku podłużny dołek. — Ja był w cywilu szewcem — dodał bez związku, z nikłym akcentem dumy. — Ja był dobry szewc. Nie taki co oszuka albo ukradnie. U mnie robiły cholewy panowie oficerowie z całego garnizonu. One mówiły: Kanter to jest uczciwy chłop. On jest Żyd, ale on jest porządny człowiek. — Coś drgnęło mu w głosie. Wyprostował się i rzucił mi ciemne, wilgotne spojrzenie. — Ja nie chcę jeść taki kogut, panie podchorąży — rzekł. — Ja wolę nic nie jeść, jak żeby ludzie miały płakać przeze mnie.

Przyglądałem mu się, nie mogąc uwierzyć temu co widzę. W oczach kanoniera błyszczały łzy. Wyraźnie łzy, a grube usta krzywiły się smutno i dziecinnie. Sławik uśmiechał się do mnie pobłażliwie i porozumiewawczo. Wzruszyłem ramionami i zawróciłem w stronę działonu. Tamci człapali za mną, ocierając się z szelestem o krzaki. Miałem wielką ochotę obejrzeć się za siebie, rzucić Kanterowi jakieś przyjazne słowo. Nie mogłem się na to zdecydować. Wstydziłem się. Miałem takie wrażenie, jakgdybym otarł się o „dobrą sprawę" bliżej niż kiedykolwiek przedtem. To była na pewno przesada. Walka toczyła się o rzeczy wielkie. O niepodległość, o polityczny byt narodu. Ale intuicyjnie wyczuwałem jeszcze inny jej sens. Ogromna, stalowa maszyna miała stratować i zgładzić wszystko co miękkie i łagodne, w jej twardym łoskocie zamilknąć miały wszystkie głosy, nie podobne do klekotu pancernych blach. Poza betonowymi murami państw żyli jednak ludzie, których serca wypełniała litość, nie znana rządom i sztabom. Może oni mieli najwięcej racji, może ich należało przede wszystkim ocalić.

Nad naszym ogieńkiem Marchewka skonstruował rożen z patyków. Rumieniło się coś na nim, pachniało przypaloną skórką. Nieoceniony Funt zwątpił zawczasu w powodzenie „patrolu" i wziął sprawę aprowizacji w swoje ręce. Mimo wszystkiego mieliśmy kurę, nawet dwie — jedną dla jezdnych, jedną dla obsługi.

Były już prawie gotowe, kiedy poza grupą sosen z prawej strony rozległ się głośny warkot, zmieszany z trzaskiem pojedyńczych strzałów. Na niebie, tuż nisko, ukazała się wielka rozkraczona łątka. Samolot opadał wprost na nas, chwiał niezgrabnie płatami, silnik jego charczał nierówno w pełnych bolesnego wysiłku zrywach. Rzuciliśmy się do kozłów po karabiny: Wokół strzelano ze wszystkich stron. Za wałem zaterkotała długa seria L. K. M.'u Garwaczewskiego. Koło mnie Kud walił raz za razem. Jego toporna gęba jaśniała jakimś nieprzytomnym uniesieniem.

— Nie strzelać, nie strzelać! — wrzeszczał Herbst, potykając się w biegu o krzaki, wygrażając wściekle pięściami. Za nim pędził Redycz, czerwony ze złości. — Nie strzelać durnie, to nasz! — Nie strzelać! powtórzyłem, szarpiąc Kuda za ramię. Maszyna musnęła nam głowy szerokim cieniem i gwałtownym powiewem śmigła. Widać było na skrzydłach polską szachownicę i znak czerwonego krzyża. Lotnik przechylał je kolejno na boki, jakby dawał nam rozpaczliwe znaki kanciastymi łapami. — Nie strzelać! nie strzelać! — Ale strzelanina trwała nadal. Lotnik i wróg, to było jedno pojęcie.

Łomot, trzask łamanych gałęzi, ochrypłe wrzaski. Strzały umilkły. Gnaliśmy na miejsce wypadku, przewracając menażki i depcząc ogniska. Samolot zarył ukośnie silnikiem w piasek, ale nie zapalił się jakimś cudem. Z kabiny o podartych, celofanowych szybkach gramolił się pilot. Zatoczył się dotknąwszy ziemi, oparł się bezwładnie plecami o kadłub. Twarz miał trupio bladą, szczęki latały mu jak w ataku febry. Lewe ramię zawisło wzdłuż ciała w postrzępionym i ociekającym krwią rękawie. Patrzył błędnie po gęstniejącym wokół tłumie. Nagle usta stężały mu, oczy zaszkliły się nienawiścią. Splunął z wściekłością pod nogi najbliżej stojących. — Coście zrobili, skurwysyny? — powiedział.

×

Działon Kazka Jesiołła nadjechał z wysuniętego stanowiska p. panc. i odprzodkował koło nas w kępie wysokich świerków i jodeł. Było już ciemno. Włożyliśmy płaszcze, ale chłód obfitej rosy przenikał przez wełnę. Szczękaliśmy zębami, dłonie kostniały w zetknięciu ze stalą. Blask księżyca nie przenikał niemal w mrok ogromnych gałęzi, wiszących posępnie nad głowami.

— Czemuście strzelali? — zapytałem Kazka.



Roześmiał się. — Redycz powiedział mi, że jak zobaczę białą rakietę, mam walić na jej kierunek. Jak czerwona, to nie, bo to dla piechoty. Czekaliśmy tak długo, aż wreszcie bractwo zaczęło drzemać w rowie. Ja też kimnąłem trochę. Nagle budzi mnie jakiś kretyn, że rakieta. Jaka? pytam go. Fioletowa — mówi. Bądź tu mądry! Łupnąłem na wszelki wypadek, a wtedy zaczęli sikać wszystkimi kolorami naraz. Zdurniałem do reszty i rąbię ile wlezie, bo co mam robić? Dopiero przyleciał Herbst z pyskiem i kazał mi dołączyć do was.

Przed nami szerokim kręgiem niewidoczny horyzont wstrząsnął się tępą czkawką dalekich detonacji. Z prawej strony przesiąkał pomiędzy drzewa różowy odblask łuny. Od czasu do czasu karabiny maszynowe odzywały się nerwowym stukotem. Odgłosy te zbliżały się ku nam, jak szczekanie ścigających zwierza ogarów. W pewnej chwili karabiny zahukały gdzieś całkiem blisko, na stanowiskach piechoty osłaniającej baterię. Sypnął się porywisty, gwałtowny grad wystrzałów i umilkł natychmiast. Dobiegły nas jakieś zduszone okrzyki, potem ktoś zatupotał w ciemności. — Sanitariusz, sanitariusz! — wołano po drugiej stronie drogi. Nie mogliśmy się dowiedzieć co zaszło, bo pogotowie bojowe trzymało nas przy działach. Dopiero w pół godziny potem porucznik Herbst przyniósł nam nowinę: wrócił Stumpf z częścią swoich ludzi. Nie znając hasła narwali się na naszą placówkę i dostali ognia. Stumpf ranny w usta, ale podobno nie groźnie. Od samego Żabna gonili baterię. Pięć razy wpakowali się na Niemców, raz patrol nieprzyjacielski otoczył ich w stodole i cudem tylko udało im się wymknąć. Dwóch jezdnych i jednego wręczyciela stracili w potyczce z czołgami, której ślady oglądaliśmy w opuszczonej wiosce.

Wkrótce potem zjawił się u nas jeden z niedobitków Stumpfa, podchorąży zawodowy Sojka. Z jego ust poznaliśmy się z dalszymi szczegółami tej dziwnej historii. Zaczęło się przy owym moście na Dunajcu, gdzie mieli bronić przeprawy. Przyjechał tam jakiś major na motocyklu i wezwawszy Stumpfa do siebie, powiedział mu, że jest ze sztabu dywizji i ma rozkaz zwinięcia wszystkich zapóźnionych placówek. Nie mogli pojąć o co chodzi, wobec czego major wyjaśnił im, że Niemcy przeszli rzekę wyżej i zagrozili tyłom naszej linii, a wszystkie oddziały polskie odeszły już w największym pośpiechu żeby uniknąć okrążenia. Stumpf chciał koniecznie porozumieć się ze stanowiskiem, ale nie było telefonu, a major straszył Niemcami i groził sądem polowym za niesubordynację. Ulegli wreszcie. Domniemany sztabowiec wyznaczył im na mapie drogę marszu baterii, którą wpakowali się prosto na czołgi. Dopiero potem przypomnieli sobie, że miał czapkę miękką, starego fasonu i mówił dziwnie kanciastą polszczyzną. Ostatecznie mógł być rezerwistą z poznańskiego. Pluli sobie w brody i klęli własną łatwowierność, ale któż mógł przewidzieć taką idiotyczną sytuację?

Miałem wielką ochotę odszukać Garwaczewskiego i powtórzyć mu to wszystko. Tymczasem jednak zaczęły łupać po lesie granaty, a porucznik Herbst poderwał nas do dział.

Gdzieś niedaleko wybuchnąć musiał nowy pożar, bo las napełnił się krwawą poświatą. Na prawo od nas rozterkotała się broń maszynowa i ręczna. Nasilenie ognia zdawało się świadczyć o starciu na małą odległość. Opanowało nas podniecenie. W ciemności i w zakrytym terenie nie mogliśmy wytworzyć sobie żadnego pojęcia o sytuacji. Spomiędzy czarnych pni w każdej chwili wynurzyć się mogły spłaszczone hełmy niemieckiej piechoty, tym bardziej, że karabinowe kule przelatywały już z cieniutkim gwizdem nad naszymi głowami. Herbst rozdawał nam pudełka zapałek, mające zastąpić zagubione przyrządy oświetleniowe. Trwaliśmy na swoich miejscach, nie mogąc doczekać się chwili kiedy huk naszych własnych armat zagłuszy wzbierający w nas niepokój. Widocznie jednak walka przybrała zbyt chaotyczny charakter by można było ryzykować naszą interwencję. Kłębiła się gwałtownie coraz głośniejsza i bliższa, tryskająca wciąż nowymi ogniskami bitewnego zgiełku. Ponad czuby drzew strzelać zaczęły jadowicie syczące rakiety, rzucając w nasze ukrycie zimne światła błyskawic. Kule trzaskały sucho o pnie, a bieg ich znaczyły w mroku niteczki gorącej czerwieni. Nagle zabrzmiały działa szóstego palu, stojącego po drugiej stronie drogi. Biły wściekłym, huraganowym ogniem, który wypełnił całą atmosferę przeraźliwym łoskotem i wyciem. Wszystkie inne głosy opadły na dno nocy, zmiażdżone i nieważne. Kiedy wreszcie nastała chwila przerwy, okazało się, że bitwa odpłynęła od nas, że cofa się pośpiesznie, pozbawiona swej niedawnej grozy. Teraz przyszła kolej na nas. Nie trzeba już było zapałek, bo księżyc pochylił się tymczasem i wnikał ukośnie pod strzechy świerków. Strzelaliśmy plutonami na krótkim celowniku, przenosząc powoli ogień coraz bardziej na prawo. Zapamiętaliśmy się zupełnie w naszej pracy i nie zauważyliśmy nawet, że nad niskim zagajnikiem, stanowiącym nasze przedpole, mrok rozrzedzać się zaczął chłodną szarością brzasku.

— Słuchaj, pac bije gdzieś z tyłu — rzekł Kazek w jednym z krótkich momentów wytchnienia. Rzeczywiście, ponad drzewami cwałowały ciężkie pociski, ale wybuchy ich słychać było blisko, nie dalej jak w linii naszej piechoty. — Cóż to znowu? — dziwił się Jesiołł. — Skracają jeszcze, jak Boga kocham.

Wtem, milczący od jakiegoś czasu szósty pal odezwał się nową salwą. Twarze nasze wydłużyły się ze zdumienia. Kierunek ognia był wschodni. Teraz nie było już najmniejszej wątpliwości: otoczono nas. Niemcy byli ze wszystkich stron. O wschodzie słońca i my zmieniliśmy cel. Działa obrócone o sto osiemdziesiąt stopni wkopaliśmy głęboko ogonami w ziemię i biliśmy stromo, ze środka lasu, wśród zamieci coraz celniej eksplodujących, nieprzyjacielskich granatów.

d. c. n.

* KSIĄŻKI * * KSIĄŻKI * * KSIĄŻKI *

WZNOWIENIA

PRZYGODY W GÓRACH

Dobrze, że przedwojenna książka „Koleba na Hliniku"*) ukazała się w nowym wydaniu, bo jest jedna z lepszych polskich powieści awanturniczych dla starszej młodzieży. Obaj autorzy tkwią w terenie, który barwnie, żywo opisują, jakby byli u siebie w domu. Tatry, technika wspinaczki górskiej i piękno gór, życie górali i doskonała znajomość realizacji tego życia wypełniają tok żywej nie słabnącej w napięciu akcji opowiadania. Czytelnika znającego Tatry choćby z krótkiej wycieczki, urzeka w książce czar gór. Pozwala mu przenieść się wyobraźnią w urok wędrówek wysokogórskich, ocenić problemy trudów wspinaczki i zachłysnąć się końcowym efektem osiągnięcia celu.

Wątek przygodowo - sensacyjny stanowi zdobyta przez czterech przyjaciół od umierającego przemytnika tajemnica ukrytych przez niego w niedostępnej „kolebie" wartościowych towarów. Czwórce uczniów „jednego z warszawskich liceów", wśród których jest góralski syn i doświadczony bywalec górski, towarzyszy sprytny góral doskonale dostrojony do całej grupy. Po wielu przygodach odkrywają „kolebę" i przekazują zdobycz we właściwe ręce.

W akcję zgrabnie wplecione są obrazki z folkloru góralskiego i dobrze wmontowana autentyczna gwara góralska, poparta dodanym na końcu słownikiem gwarowym i technicznym, taterniczym. Niezupełnie natomiast dostrojony do całości jest styl rozmów tych kilkunastoletnich, współczesnych czytelnikowi chłopców warszawskich. Używają języka okresu Dyakowskiego czy Dygasińskiego, podczas gdy chłopcy dzisiejsi lub nawet przedwojenni mówią raczej w chwilach dobrego humoru stylem zapożyczonym od Wiecha. W żadnym zaś razie nie używają takich zwrotów: jak: sakum pak, adijo, mio, waćpanie itd. Są to jednak drobne usterki. Całość jest dobrze zbudowaną interesującą opowieścią. Walorem jej jest realizm przeżyć i wrażeń wysokogórskich wypraw. Młodzież słusznie ceniąca realizm, znajdzie w tej lekturze duże zadowolenie. Ale i starsi miłośnicy i znawcy Tatr przeczytają ją z przyjemnością.

Wydanie staranne, odbitki fotografii S. Zwolińskiego podnoszą wartość graficzną strony książki.

A. R.

**) J. M. Rytard i H. Rój Koleba na Hliniku (Przygody w Tatrach) Wyd. 2 Warszawa (Gebethner i Wolff) S. 191.*

POWIEŚCI

POWSTANIE NA SŁOWACCZYŹNIE

Zaczęło się od tego, że w upalny dzień lipca 1943 roku gajowy Gondasz, obchodząc jak zwykle swój rewir, spotkał w lesie człowieka, który nie był kłusownikiem ani też przedstawicielem bratysławskiego „rządu", a po prostu dowódcą partyzanckiego oddziału, w skład którego wchodzili zarówno Czesi i Słowacy, jak też spadochroniarze radzieccy.

Gondasz miał wprawdzie od swych władz zwierzchnich surowo przykazane, ażeby o pojawieniu się w lesie niepożądanych gości składał jak najszybciej raport, ale te tisowsko-hlinkowskie władze nie chciały się liczyć z faktem, że zdrowa część narodu słowackiego potrafiła sama dróżnić dobre ziarno patriotyzmu od plew hitlerowskiej propagandy.

Spotkanie porucznika Pawła z Gandaszem i dalsze kontakty i współpraca gajowego z ruchem partyzanckim nie były rzeczą przypadku. Gondasz jako wróg nie mógł przebywać w lesie — po prostu wypłoszyłaby go stamtąd rozwijająca się działalność partyzantów. Natomiast Gondasz — sprzymierzeniec, z racji swego zawodu, mógł oddać ruchowi wyzwoleńczemu wielkie usługi. Tak się też i stało. Gondasz był dobrym synem swojej ojczyzny. Był człowiekiem, który choć niby — jak sam opowiada — stał z dala od wielkiej polityki (tak samo jak i jego rodzinna wieś), rozumiał jednak konieczność współuczestniczenia w ruchu, dążącego do obalenia reżimu faszystowskiego.

Powieść P. Jilemnicky'ego*) o ludowym powstaniu na Słowacczyźnie — napisana w formie gawędy gajowego Gondasza — odznacza się epickim umiarem i spokojem, choć przedstawia ciężki okres w życiu narodu słowackiego, choć unaocznia krwiożerczy terror hitlerowski wobec doprowadzonej do ostateczności, spokojnej zasadniczo ludności wsi słowackiej.

Gawędziarska forma narracji, zastosowana w utworze P. Jilemnicky'ego — ma swoje zalety, ale ma też i pewne wady.

Do zalet należy bezpośrednie zbliżenie do czytelnika postaci bohatera i zdarzeń, których był świadkiem lub o których wiedział od innych. Prosty, niewyszukany język, jakim posługuje się w swych wspomnieniach Gondasz, czyni bardziej wiarogodnymi dzieje owego powstania, niż gdyby opisane ono było konwencjonalnie poprawnym językiem literackim.

Niebezpieczeństwo jednak takiego gawędziarskiego stylu kryje się w dłużyznach opisowo - refleksyjnych, które zasadniczo nie rażą w ustach gajowego - filozofa, ale powinny były ulec pewnemu skróceniu przez „pana nauczyciela", który zgodnie z koncepcją autora — miał opracować ową kronikę powstańczą na podstawie opowieści Gondasza.

Książka Jilemnicky'ego — stanowiąca ważne ogniwo w łańcuchu literackich relacji o dziejach ruchu oporu w poszczególnych państwach Europy, ogarniętych inwazją „germańskiego Napoleona" — ma znaczenie również dokumentarne.

Najlapidarniej mówi o tym w prostych, lecz dobitnych słowach bohater „Kroniki" gajowy Gondasz:

„Nam idzie o to, aby nasze dzieci i wnuki wyczytały kiedyś z tej kroniki, jakie cierpienia zgotowali ich rodzicom ci, co w końcu zawsze myśleli tylko o sobie, ci, co w swojej nienawiści do powszechnego postępu gotowi byli sprzymierzyć się z samym diabłem. A poza tym chodzi o to, aby kronika przypominała naszym potomkom, co musieliśmy przeżyć i ile ponieść ofiar, żeby odwrócić nieszczęście i zapobiec zagładzie narodu".

G. K.

*) Piotr Jilemnicky — „Kronika" — powieść. Państwowy Instytut Wydawniczy. Kraków, 1950. Tłum. Zdzisław Hierowski. Stron 362.

***

KSIĄŻECZKA, KTÓRA ZASTANAWIA

Wydana w formacie kieszonkowym książeczka Mikołaja Leskowa kryje w swej treści bogatą problematykę społeczną, rozważaną i podawaną w sposób satyryczny. Leskow, którego twórczość przypada na drugą połowę ubiegłego stulecia, nigdy nie był rewolucjonistą, a jednak do tego stopnia obrzydził sobie biurokratyczno - obszarnicze rządy ówczesnej Rosji, że zapragnął je chłostać biczem satyry. Ten akcent satyryczny silniejszy jest w „Opowieści o tulskim mańkucie", gdzie na czoło wysuwa się szczery humor i prostoduszność nadwornego kozaka Łotowa. Wątek opowiadania przedstawia się prosto: Anglicy pokazali carowi stalową pchłę, na którą trzeba patrzeć przez „nikłoskop". Tulscy rusznikarze, a wśród nich ów zezowaty mańkut postanowili pokazać Rosji i światu swą wyższość nad „Angliczkami" i dowiedli jej przyprawiając stalowej pchle mikroskopijne podkówki. W nagrodę za ten czyn car Mikołaj I wysłał mańkuta - fenomena na zwiedzanie cudów i cudeńków Albionu, a w rok potem, niestety, pozwolił utalentowanemu mańkutowi zginąć tragiczną śmiercią nędzarza.

Znacznie mniej tonów satyrycznych lecz za to wymowniejszą myśl społeczną ma opowiadanie pt. „Balwierz artysta". Jego fabuła jest również nieskomplikowana. Hrabia Kamieński despota i okrutny ciemiężyciel swoich poddanych utrzymuje przy dworze swoim teatr, a w teatrze grono kobiet, artystek-niewolnic. Balwierz artysta imieniem Arkady kocha się na zabój w jednej z tych kobiet, Lubow Onisimowej i chcąc ją uchronić od nieszczęścia porywa ze sobą, by uciec spod władzy satrapy. W kilka lat później jednak Arkady ginie śmiercią tragiczną, a nieszczęśliwa jego kochanka znajduje pociechę w kieliszku. Oba opowiadania oparte na bogatym folklorze rosyjskim, obfitujące w trudne do oddania zwroty żargonowe, spolszczone po mistrzowsku przez Tuwima i wyposażone w znakomite rysunki Uniechowskiego na pewno staną się miłą i pouczającą lekturą dla niejednego czytelnika.

J. S.

***

TARTAREN W AFRYCE

„Książka i Wiedza" wydała niedawno drugi już po wojnie tom Alfonsa Daudet'a. Po „Listach z mojego młyna" ukazały się „Niezwykłe przygody Tartarena z Tarakoskonu" *) przemiła groteska w świetnym przekładzie Heleny Iwaszkiewiczówny i Romana Kołonieckiego.

Daudet w sposób lekki i dowcipny kreśli obyczaje sławetnego miasta Taraskon i jego głównej ozdoby — wielkiego wodza „Łowców czapek" Tartarena. Tę wprowadzającą część możnaby nazwać poematem o romantycznych filistrach, a mimo realistycznych założeń daje ona obraz niezwykle trafny. Autor wnikliwie odmalowuje obawy duchowe wobec Tartarena. Dziwne rozdwojenie duszy bohatera i walki między Tartarenem - Sanczą, a Tartarenem-Don Kichotem przedstawione są w całej dramatyczności.

Nastrój beztroskiej tryskającej przednim humorem groetski zmienia się nieco z chwilą wyjazdu. Tartarena do Afryki na polowanie na lwy. Autor operuje teraz głównie przeciwstawieniem romantycznych marzeń Tartarena tzw. realnej rzeczywistości, która ukazuje się niemal całkiem odartą z tajemniczego uroku. Zupełnie zaś poważny ton przybiera na chwile opowieść gdy Daudet przedstawia ogólny stan społeczny francuskiego Algeru. Jest to obraz tak ponury, że spojrzenie pobłażliwie, ironicznie nie wystarcza. Ale ten realistyczny i brutalny dysonans trwa krótko i nawet niepowodzenia myśliwskie Tartarena nie odbierają akcji pogdoy. Całość niezmiernie miła i przyjemna w czytaniu kńoczy się niespodziewanie dla naszego bohatera triumfalnym powrotem do Taraskonu.

Dostosowane do stylu opowieści rysunki J. Szancera dodają książce żywości. Mamy nadzieję, że wydawnictwo i tłumacze nie poprzestaną na tym tomie i dadzą nam wkrótce do ręki dalszy ciąg przygód dzielnego Tartarena. (Tartaren w Alpach).

B. G.

*) Alfons Daudet: „Niezwykłe przygody Tartarena z Taraskonu". Książka i Wiedza. Warszawa 1949, str. 164+4nbl. Przekład Helena Iwaszkiewiczówna i Roman Kołoniecki.

LITERATURA DZIECIĘCA

O UKRYTYCH SKARBACH I LATAJĄCYCH BOHATERACH

Deszcz w czasie wakacji na ogół nigdy nie jest mile widziany, ale gdy deszcz leje trzy dni bez przerwy, to robi się już całkiem niewesoło. Wtedy dzieciarnia z szuflad i walizek wydobywa zapomniane chwilowo książki, które jednak wiernie towarzyszą jej na letnich wczasach.

W takich to właśnie okolicznościach sięgnęliśmy — po wyczerpaniu bardziej na pozór atrakcyjnej literatury — po dwie skromne książeczki tłumaczone z rosyjskiego „Tania i skarb" J. Tajc i „Czeremysz brat bohatera" Lew Kassil. Dzieci kupiły je sobie same, gdyż b. przystępna cena 20 zł nie przekraczając możliwości uczniowskich kieszeni pozwala na kompletowanie „własnej" biblioteczki.

Już po przeczytaniu pierwszego rozdziału „Tani" czuję, że trzeba będzie jednym tchem przeczytać ją do końca. Tania i Alek powiększyli naszą gromadkę, zostali włączeni do koleżeńskiego grona i opowiadają swoje przeżycia, które równie dobrze mogłyby być przeżyciami każdego z dzieci i ręczę, że chłopcy zazdroszczą już archeologicznej wyprawy Alka, a dziewczynki marzą o tym, by to ich pantofelek został przejechany przez generalskiego IS-a.

Szczególnie ładnie ujęta jest sprawa listu wygrzebanego z ziemi przez małą, upartą Tanię. Listu — obiecanego przez odjeżdżającego na front ojca, listu — który nigdy nie nadszedł. Matka wie, że nie ojciec Tani był jego autorem, lecz nie odbiera dziewczynce radości wzruszającego odkrycia, przecież słowa te pisał też mąż i ojciec, ostatnią myślą żegnający się z rodziną, przekazujący jej swoje bohaterstwo i ufność. List jest odczytywany z przejęciem i przechowywany jak prawdziwy skarb.

Ta właśnie „szerokość" uczuć, nie zacieśniająca się do własnych spraw czy smutków owiewa całą tę małą, b. miłą książeczkę. „Czeremysz" głębiej ujmuje sprawę charakteru. Oto chłopiec nie mający bliskiej rodziny, urzeczony postacią bohaterskiego lotnika noszącego to samo co i on nazwisko, zaczyna w marzeniach uważać się za jego brata. Ale niestety nie ogranicza się do marzeń, pokusa jest zbyt silna — w szkole domniemany „brat bohatera" budzi ogólne zainteresowanie, otoczony jest sympatią kolegów i nauczycieli. Ta fałszywa sytuacja musi wreszcie doprowadzić do dramatycznego konfliktu. I cóż się składa na pomyślne rozwiązanie go? Nie wystarcza tu tylko prawy w gruncie rzeczy i odważny charakter chłopca, z pomocą przychodzi mu piękna, prawdziwie braterska postawa sławnego lotnika, surowy lecz sprawiedliwy i przyjacielski stosunek kolegów i władz szkolnych.

Tu czuje się mocną więź społeczną nie dającą odejść jednostce na samotną drogę wstydu i samoudręki: tu, wśród nas musisz zostać, z nami żyć i pracować i wykazać, że naprawdę jesteś godny ideału „starszego brata". „Marzenie, towarzysze — mówi przy tej okazji lotnik Czeremysz — rzecz w życiu nader ważna. Marzenie może człowieka na ludzi wykierować. I śmiać się z niego nie wolno".

Jest w tej książce i humor, tak ważny w literaturze dla młodych czytelników. Gruby Plintus, wjeżdżający na brzuchu do bramki w czasie emocjonującego meczu hokejowego, wywołuje salwy śmiechu. Dobra też jest scena, gdy rozchwytywany lotnik, nieczuły na warkot samochodu i dzwoniący bez przerwy telefon, rozwiązuje z gromadką uczniów trudne zadanie, które ani rusz nie chce „wyjść". W obydwu książeczkach zwraca uwagę naturalne związanie ich młodych bohaterów ze swoim środowiskiem — rodziną, szkołą, klubem sportowym, ze swoim miastem — jego ulicami, ogrodami, ambicjami i pracą.

W obydwu autorzy nie uciekając się do wybujałej fantazji, ani egzotyki, nie wykraczając poza zwykłe warunki życia umieli dać treść barwną i ciekawą, pozwalającą głębiej i bardziej twórczo przeżywać otaczającą nas rzeczywistość. Dla jakiego wieku przeznaczone są te opowiadania? Myślę, że od lat 8-miu wzwyż, górną granicę trudno określić, gdyż czytałam je z równym zainteresowaniem, jak moi mali słuchacze. Poza tym myślę, że trzeba pisać o nich i mówić, by w ten sposób wynagrodzić b. skromną szatę zewnętrzną w jakiej zostały wydane, co może spowodować przeoczenie ich istotnych wartości.

K.

TYDZIEŃ KULTURALNY TYDZIEŃ KULTURALNY TYDZIEŃ KULTURALNY

W Warszawie

Białoruska Socjalistyczna Republika Radziecka przekazała ostatnio Rzeczypospolitej odnalezione na terenie Białejrusi cenne polskie zabytki historyczne. Wśród przekazanych zabytków znajdują się dużej wartości historyczne portrety Zygmunta Starego, Zygmunta Augusta, Jana Kazimierza, Jana Sobieskiego, Stanisława Leszczyńskiego, Augusta III i jego żony, Stanisława Poniatowskiego i wiele innych dzieł malarskich. Poza tym transport zawiera cenne hafty z XVII i pasy z XVIII w. pochodzące ze sławnej wytwórni w Kobyłce pod Warszawą.

×

Pomnik Chopina stanie, jak ostatecznie zadecydowano, na starym miejscu w Łazienkach. We wrześniu rozpisany będzie konkurs na projekt pomnika.

×

1 września w odbudowanym pawilonie w Ogrodzie Saskim otwarta zostanie wystawa obrazująca budowę Marszałkowskiej Dzielnicy Mieszkaniowej oraz innych osiedli stołecznych. Prócz tego wystawy lokalne urządzone będą w poszczególnych dzielnicach.

×

W gmachu Zarządu Głównego ZSCh urządzono wystawę chłopskich gazetek ściennych, wydawanych w świetlicach PGR-ów, spółdzielni produkcyjnych itp.

×

Główny Urząd Statystyczny przystąpił do prac organizacyjno-przygotowawczych do Narodowego Spisu Powszechnego, który odbędzie się w dniu 3 grudnia br. Obejmie on spis ludności z uwzględnieniem zawodów, spis mieszkań i budynków oraz spis gospodarstw rolnych, leśnych itp. Przeprowadzenie spisu wymaga pracy koło 120.000 osób.

W Kraju

Ministerstwo Kultury i Sztuki organizuje sieć szkół muzycznych nowego typu: będą to „państwowe podstawowe szkoły muzyczne" oraz „państwowe licea muzyczne". Nowy typ szkół będzie realizował jednocześnie cele szkolnictwa zawodowo-muzycznego oraz ogólnokształcącego. Przy niemal wszystkich Liceach Muzycznych tworzone są internaty, co ułatwi naukę młodzieży chłopskiej. Podstawowa szkoła muzyczna o 7-letnim programie przyjmuje kandydatów od 7—9 letnich. Nauka w liceach trwać będzie lat 5. W roku 1950/51 czynnych będzie 8 szkół podstawowych i tyleż licealnych.

×

1 września rozpoczął się nowy rok szkolny, poprzedzony trzydniowymi konferencjami nauczycielskimi. Początek roku święcony był b. uroczyście.

×

W Krakowie od kilku miesięcy prowadzone są pod kierownictwem prof. Karola Estreichera prace remontowe zabytkowego gmachu Collegium Maius. Prace te doprowadziły do rewelacyjnych odkryć historycznych w zakresie polichromii i dekoracji. Collegium Maius samo w sobie jest jednym z najlepiej zachowanych w Europie zabytków architektury gotyckiej. Poczynione odkrycia, które dokładniej zostaną podane do wiadomości publicznej w niedługim czasie — pozwolą na stworzenie z Collegium Maius jednego w tych rozmiarach muzeum „naturalnego", poznającego studentów i zwiedzających z historią kultury polskiej.

×

We Wrocławiu odbyło się IV doroczne publiczne posiedzenie Wrocławskiego Towarzystwa Naukowego (założonego 10 czerwca 1946 roku). Towarzystwo liczy obecnie 101 członków. Prezesem WTN jest prof. S. Kulczyński, wiceprezesem prof. L. Hirszfeld. W ciągu swego istnienia Towarzystwo wydało 64 prace o przeszło 400 arkuszach druku, odbyło 200 posiedzeń z 280 referatami. Jedno z tych dzieł — prof. S. Rosponda o języku polskim XVI w. — uzyskało nagrodę PAU. Do pięknych tradycji WTN należy doroczne wręczanie nagród specjalnie ustanowionych dla najbliższych towarzyszy pracy każdego uczonego — dla personelu fizycznego laboratoriów, bibliotek i drukarń naukowych. W roku bieżącym nagrody te otrzymali pracownicy Drukarni Uniwersyteckiej: W. Bobrowski, J. Bogacz, S. Drewniak, J. Fedeczko, K. Kamberski, J. Rzepka i E. Bilewicz.

×

Zarząd Główny Społecznego Komitetu Radiofonizacji Kraju zorganizował we Wrocławiu pierwszy ogólnopolski kurs dla instruktorów radiowych. Wzięło w nim udział 60 słuchaczy.

×

Z Katowic wyjechał na Węgry międzyświetlicowy zespół artystyczny Związku Zawodowego Górników, w skład którego wchodzi 20 osobowy balet oraz kwartet akordeonistów. Wystąpi on w licznych węgierskich ośrodkach robotniczych.

×

W Sopocie otwarta została historyczna, retrospektywna wystawa fotograficzna pod nazwą „110 lat fotografii artystycznej i użytkowej". Wystawa ta stanowić będzie zalążek projektowanego Muzeum i Archiwum Fotografiki w Warszawie.

×

W Szczecinie uruchomiono trzyletnią szkołę instruktorów teatralnych typu licealnego. Absolwenci obowiązani będą do trzyletniej pracy wśród ludowych zespołów artystycznych, a dla najzdolniejszych otwarta zostanie droga poprzez studia w PWST do normalnej sceny.

×

We wrześniu uruchomione zostaje w Toruniu Technikum Administracyjno - Handlowe. Nauka trwać będzie 3 lata. Absolwenci otrzymują tytuł technika administracji i handlu.

×

W Karolewie w powiecie Kętrzyńskim odbyła się konferencja dyrektorów liceów rolniczych oraz pracowników pedagogicznych wojewódzkich oddziałów szkolenia kadr rolniczych. W konferencji brało udział 300 osób, celem jej było omówienie zadań i nowej organizacji średniego szkolnictwa rolniczego.

×

Według danych opublikowanych przez „Dom Książki" produkcja wydawnicza w r. 1951 osiągnie 94 miliony książek.

W Poznaniu otwarta została wystawa projektów architektonicznych obrazująca plan rozbudowy miasta w ciągu najbliższych sześciu lat. Szczególną uwagę zwraca zrekonstruowany model dzielnicy staromiejskiej, na którym widać przebudowany Stary Rynek.

×

W domu ludowym w Białowieży uruchomiono pierwsze na Białostocczyznie stałe kino wiejskie. W roku bieżącym uruchomione będą dalsze kina. W końcu planu 6-letniego wszystkie gminy posiadać będą stałe kina.

×

Na Śląsku Zaolziańskim odbył się konkurs na najpiękniejszy strój śląski. Zorganizował ten konkurs Polski Związek Kulturalno - Oświatowy w Czechosłowacji. Górale z Jabłonkowa zademonstrowali orginalne stroje regionalne rzadko już dzisiaj spotykane.

×

W Ząbkowicach otwarto pierwszy na Dolnym Śląsku Spółdzielczy Dom Kultury.

×

W Łodzi pracuje od dłuższego czasu pierwszy w Polsce robotniczy klub filmowców - włókniarzy. Klub ten, poza dyskusjami filmowymi ostatnio podjął się wyłącznymi siłami filmowców - robotników nawet i filmowej produkcji. I tak wyprodukowane zostały trzy numery kroniki przemysłu włókienniczego, a ostatnio średniometrażowy film dokumentarny pt. „W obronie pokoju" obrazujący przebieg tegorocznego święta Pierwszego Maja.

Zagranica

RELIKWIE ŚW. BENEDYKTA

Dnia 1 sierpnia bieżącego roku przeprowadzono w ruinach opactwa Monte Cassino (zburzonego podczas wojny) poszukiwanie relikwii św. Benedykta.

Okazało się, że przetrwały one w stanie nienaruszonym w urnie pod głównym ołtarzem. W tej samej urnie znajdują się relikwie św. Scholastyki, która pierwotnie była pochowana w osobnej trumnie obok brata.

***

HOŁD PABLOWI PICASSO

W ostatnich dniach lipca Pablo Picasso przekazał miasteczku robotniczemu Vallauris specjalnie dla niego wykonane dzieło, tym razem rzeźbiarskie: „Człowiek z jagnięciem". Wielki i wszechstronny ten artysta w ostatnich czasach jak donoszą poświęcił się rzeźbie. Poza ukończoną statuą, o której mowa, niebawem z pracowni Picassa ma wyjść jego następne dzieło „Kobieta ciężarna".

Uroczystość przekazania miasteczku „Człowieka z jagnięciem" zgromadziła około 3.000 osób, wśród nich wielu intelektualistów komunistycznych z Laurent Casanova, Paul Eluard i Jean Cocteau na czele. Przemówienie, jakie przy tej okazji wygłosił Casanova, zostało przedrukowane w całości przez „La Nouvelle Critique" pod wymownym tytułem „Hołd Pablowi Picasso", który może stanowić również tytuł całej uroczystości.

Jest rzeczą charakterystyczną, że statua poświęcona specjalnie dla ludności robotniczej małego miasteczka, przedstawia nie człowieka w walce ani przy pracy, ale w pozie wyrażającej pragnienie pokoju i szczęścia. Tristan Tzara pisząc w komunistycznych „Les lettres françaises" o nowym dziele Picassa mówi: „Niosący jagnię, niosący liryzm, niosący ideały i miłość, niezliczeni niosący życie, przyszłość i piękno — ciężar prawdy którą posiadanie, może zmusić do odwrotu siły śmierci..."

***

DŁUGOWIECZNY PISARZ

Dnia 23 sierpnia br. Alojzy Jirasek, jeden z najwybitniejszych współczesnych pisarzy czeskich, obchodził 99-tą rocznicę swoich urodzin!

***

MUZEUM GLEBOZNAWCZE

Przy państwowym uniwersytecie im. Łomonosowa w Moskwie otwarto świeżo muzeum gleboznawcze. Eksponaty w nim umieszczane i do niego nadsyłane będą przedstawiać wszelkie zdobycze różnych gałęzi rodzimej nauki w zakresie geografii, geologii, hydrogeologii i gleboznawstwa. Muzeum mieści się w gmachach uniwersyteckich.

MUZEUM IMIENIA K. S. STANISŁAWSKIEGO

6-go sierpnia nastąpiło w Moskwie uroczyste otwarcie domu pamiątkowego i muzealnego imienia K. S. Stanisławskiego, by uczcić 12-toletnią rocznicę śmierci sławnego działacza na niwie teatrologii.

Licznie zebrani przedstawiciele radzieckiej inteligencji, świata artystycznego i uczącej się młodzieży z zainteresowaniem zwiedzali muzeum i oglądali nagromadzone pamiątki związane z życiem i pracą Stanisławskiego oraz Niemirowicza-Danczenki, tych dwu założycieli moskiewskiego teatru artystycznego.

***

CHIŃSCY ARTYŚCI W WYTWÓRNI FILMOWEJ MOSKWY

Wytwórnię filmową w Moskwie odwiedzili świeżo chińscy artyści i powitani zostali serdecznie przez reżysera Rooma. Wszyscy zebrani z wielkim zainteresowaniem wysłuchali odpowiedzi dwu pisarzy chińskich Lju-baj-oj i Czoj-li-bo, w których informowali oni o nowych kierunkach literatury chińskiej oraz o ogólnym rozwoju Chin ludowych szybko postępującym naprzód.

Artysta ludowy S. Gierasimow podzielił się swymi wrażeniami przywiezionymi z pobytu w Chinach oraz dał charakterystykę starej, a tak samodzielnej kultury chińskiej, po czym mówił o rozwijającej się obecnie w Chinach kinematografii.

Na zakończenie wieczoru wyświetlono film chiński „Iskry", który został z uznaniem przyjęty przez widzów.

***

WSPÓŁCZESNY MECENAS SZTUKI

Żyje i prosperuje nienajgorzej we Włoszech właściciel wielu cegielni p. Józef Veroccio. Prowadząc doskonale swoje liczne przedsiębiorstwa ceramiczne, właściciel ich ma duże zainteresowanie dla sztuki plastycznej: na XXV-tą wystawę sztuki w Wenecji ufundował nagrodę swego imienia w wysokości jednego miliona lirów. Nie dosyć na tym: ten nowoczesny Medyceusz i mecenas sztuki urządził w wynajętych na placu św. Marka salach (w tak zwanej Napolitance), dość oryginalną wystawę współczesnej sztuki. Oto figurują tam obrazy najlepszych współczesnych malarzy włoskich, jak Bergamo, Borelli, Pirandello i in. Ale obrazy dopuszczane są tam pod jednym warunkiem: musi na nich figurować w jakikolwiek sposób, a więc: realistycznie, mniej lub bardziej abstrakcyjnie futurystycznie, dadaistycznie, czy surrealistycznie — odtworzona, choćby w najmniejszym formacie — cegła, a na niej nazwisko właściciela licznych zakładów ceramicznych. Stanowi to znakomity, nowoczesny sposób połączenia utile cum dulci! Oto objaw mecenasowstwa w stylu amerykańskim! W kąt niech idą Medyceusze!

Film

S.O.S. — FILM PRODUKCJI FRANCUSKIEJ

Scenariusz błahy, nudny i zupełnie nie atrakcyjny „podparto" wyzyskaniem (chyba dosłownie w sensie wyzysku) wielkich talentów a właściwie wielkich nazwisk wykonawców. Nazwiska J. Gabin i M. Morgan decydują o tym, że z góry oczekuje się od filmu pewnych wartości, wymaga się wykorzystania znanych aktorów w proporcji do ich talentu, zakłada się pewien poziom artystyczny, aspiracje. Należy stwierdzić, że S.O.S. jest tych aspiracji artystycznych pozbawiony. Scenariusz opierając się na konfliktach jednostkowych, buduje je sztucznie i nieprzekonywająco, nie motywując psychologicznie, opiera się na konflikcie przypadków, ale nie charakterów. Trudno byłoby odpowiedzieć na pytanie co ten film wyraża, co chce interpretować, ujawnić. Można by ostatecznie powiedzieć, że jakąś tezą tego wszystkiego jest wypowiedziane przez jednego z bohaterów zdanie, że największą zagadką, w którą trudno komukolwiek wkraczać, jest współżycie dwojga ludzi. W zasadzie jednak pokazane zagadki są tak łatwe do rozszyfrowania i przy tym tak banalnie pojęte, tak oderwane i nieudokumentowane konkretnymi przeżyciami, że przestają być tajemnicą, stąd też ta teza wydaje się jedynie grą słów, a nie jakimś „credo" scenarzysty. Scenarzysta zarejestrował pewien przebieg wydarzeń, nadał im scenarię dramatyczną, umotywował je zbiegiem okoliczności i utrzymał się w postawie obserwatora, nie oceniając niczego ani nie interpretując. Ta postawa plotki o ludziach, którzy — nie wiadomo w gruncie rzeczy, kim są i co przeżywają (bowiem ważne jest tylko to, co robią- — od razu decyduje o tym, że dramatyczność ich losu jest fałszywa, zewnętrzna, nie przemawia i nie wzrusza. Scenariusz przy tym jest źle skomponowany i niejednolity. Wydaje się, że problematyka trójkąta małżeńskiego okazała się niewystarczającą i wbudowano w to jeszcze dodatkowo akcję morską. Pierwsza część właściwie już mimo tego połączenia wyczerpuje temat, druga jest nieudolnie melodramatyczna i sztuczna.

Funkcja Katarzyny nawet przy przyjęciu zasady schematów występujących osób jest nie wyjaśniona. Nie wiadomo, czy spełnia rolę kobiety-demona, czy krzywdzonej i ostatecznie skrzywdzonej ofiary.

Zaangażowanie w ten film nazwisk wielkich aktorów raczej podkreśla mielizny scenariusza i jego naiwność. Akcentuje dysproporcję złej roboty i niewyzyskanych możliwości aktorskich. Zresztą liczy się jedynie trójka czołowych postaci tego „dramatu", resztę bowiem zaangażowanych postaci scenarzysta ustawił już całkowicie na marginesie stwarzając tło statystów.

Film wywiera przykre wrażenie. Dialogi są ciężkie i nie interesujące, makiety morskie słabe, formalnie całość jest równie żałosna i banalna jak nieporadny i powierzchowny scenariusz.

Integryzm a prawicowa postawa katolików

(dokończenie ze str. 5-tej)

1. Sądzą oni, że wszystko sprowadza się do zagadnień moralnych, że wystarcza więc rozpocząć od samego siebie. Trzeba stać się doskonalszym, bardziej gorliwym, mocniejszym — to wszystko.

2. Reforma ma polegać na nawrocie do prawideł dawniej już ustalonych; praktycznie rzecz polega na przyjęciu pojęć odgórnie zdeterminowanych, na poddaniu się autorytetom.

3. Nie dostrzegają oni natomiast tej dziedziny przemian, które wynikają z konieczności przystosowania się, z potrzeby, jaką odczuwa Kościół; uczestniczenia w rozwoju świata, o którym mówiliśmy już poprzednio. W tym co integryści dostrzegają, jako elementy rozwoju świata, nie potrafią odróżniać rzeczy dobrych od niezupełnie dobrych i od złych. Wydaje się, że potępiają oni sam rozwój, jako taki. Odnosi się wrażenie istnienia psychozy wrogości i nieufności w stosunku do wszystkiego, co powstaje.

4. Dzięki temu życie, w ujęciu integrystów, wydaje się być obrazą, ujmą w stosunku do Prawdy. Ponieważ zaś — cokolwiek by chcieć zdziałać — życie nas otacza, odnosimy przy tej postawie wrażenie, iż jesteśmy ze wszechstron otoczeni, oblężeni, zagrożeni przez to wszystko, co żyje, rozwija się czy tego pragnie. Okres, w którym tworzyli tacy integryści jak ks. Weiss, piszący swe rozprawy na temat „Reformbestrebungen", czy mgr. Delassus pierwszy tom swych „Questions de l'heure présente", przyczyniał się niewątpliwie do rozwoju tej psychozy. Jeśli jednak nasza analiza odpowiada stanowi rzeczy, to staje się wówczas zrozumiałe jak dalece postawa integryzmu rozwija u niektórych katolików przeświadczenie, że wszystko to co powstało po średniowieczu, lub po Rewolucji Francuskiej jest tylko jednym wielkim splotem błędów, wszystko to co dziś powstaje czy może powstać — odchyleniem, herezją.

Modernizm, jak to już stwierdziliśmy, taki jaki rozwijał się w łonie katolicyzmu w latach 1895 — 1910 — był herezją, lub też, jak stwierdził to papież Pius X — zbiorem wszelkich herezji. Integryzm nie jest w istocie herezją, i, jeśli chodzi o mnie osobiście, to przeciwny jestem zestawianiu go z modernizmem. Było by to, implicite, ustawianie wśród jednego gatunku błędów zjawisk zupełnie różnych.

Jeśli bowiem modernizm grzeszy przeciw *strukturze Kościoła*, którą podważa tak długo, jak się sam w Nim znajduje, przez zniekształcanie treści dogmatów i zaprzeczanie czynnikowi hierarchii, o tyle integryzm grzeszy przeciw *istocie życia Kościoła*, ignorując jego rzeczywiste potrzeby; potrzeby ekspansji, asymilacji, przystosowania się, ignorując nawet samą strukturę Kościoła. Jeśli bowiem Kościół jest zbudowany odgórnie i hierarchicznie, to jednak żyje także i oddolnie.

To są już jednak problemy, których w tym szkicu rozwijać nie będę, gdyż zamierzam rozwinąć je w osobnej rozprawie eklezjologicznej. Tak że w najbliższym czasie poruszę ten problem w „Podstawach teologii stanu świeckiego", gdyż na tym stwierdzeniu oddolnego życia Kościoła opiera się właściwe zrozumienie problematyki świeckich.

***

Chciałbym tu, na zakończenie, dorzucić jeszcze jedno spostrzeżenie pod adresem integrystów, niektórych integrystów. Zapożyczę swe zdanie od Newmana — Pisząc o tych, dzięki którym tyle wycierpiał, stwierdzał on: „Budują oni swój Kościół w Kościele, czyniąc dogmaty ze swych osobistych poglądów. Ja się bronię też nie tyle przeciw ich osobistym poglądom, ile przeciw temu, co zmuszony jestem nazwać — ich schizmatyczną umysłowością" (z książki W. Ward — The Life of J. H. card. Newman, 1913, t. II, str. 233). Tendencja do wyolbrzymiania w katolicyzmie tego wszystkiego, co jest przesądzaniem na zasadzie autorytetu, łączy się zazwyczaj ze skłonnością do osądzania i potępiania wszystkiego, co jest poszukiwaniem. przemyśliwaniem odziedziczonych poglądów; a także ze skłonnością do oceniania ortodoksyjności drugich na zasadzie tego jak dalece gorliwie ci z kolei oskarżać będą innych o kompromisy i zacieranie granic. Tą drogą jednak podkłada się swe osobiste sądy na miejsce sądów Ewangelii, mierzy się wspólnotę katolików miarą swej własnej ciasnoty poglądów, jeśli nie, co się czasami też zdarza, miarą własnej ignorancji.

Kończąc więc chcę stwierdzić, że znajduję w integryzmie niedostatek zaufania do prawdy, zbyt nikłe zamiłowanie dla prawdy, co nie pozwala odnajdywać i uznawać ją tam nawet, gdzie realizuje się ona choćby relatywnie.

„Panie, poszerz moją duszę..." modliła się święta Katarzyna Sieneńska...

SPRAWY, O KTÓRYCH BYŁO CICHO

(dokończenie ze str. 2)

Harrimana, gen. Burns'a et co. Churchill i Harriman pierwsi wystąpili z tym projektem w Moskwie. Rzecz cała obliczona była najwidoczniej na wzmocnienie polskiego atutu, dzierżonego przez Anglosasów, czyli „polskiego Londynu" i jednoczesne całkowite popsucie stosunków tego „Londynu" z Kremlem. Było to wygodne dla Anglosasów, którzy w ten sposób występowali w roli tych, co mają coś niecoś do powiedzenia w sprawach środkowo-europejskich. Aby tylko nie dopuścić do bezpośredniego porozumienia się Polaków z Rosją!

VII. Kiedy w roku 1943 nastąpiło zerwanie stosunków polsko-radzieckich przez Wielką Brytanię popłynęła fala oburzenia na Polaków, jako na tych, którzy psują stosunki w obozie sprzymierzonych. Oburzenie to było głosem zwyczajnych angielskich zjadaczy chleba, szeregowych obywateli. Z tego wynikał najprostszy wniosek, że masy brytyjskie ani myślą popierać czy w jakikolwiek sposób opłacać antyrosyjskiej linii w polityce polskiej, aczkolwiek ta linia doraźnie może odpowiadać zamysłom rządu Jego Królewskiej Mości.

VIII. Sławna historia projektów inwazji przez Bałkany, uderzenia w „miękkie podbrzusze Europy". Przypominam sobie serie tasiemcowych artykułów w prasie podziemnej, właśnie na temat pochodu sprzymierzeńców przez Bałkany i zamiarów ogarnięcia Polski opiekuńczym skrzydłem Anglosasów.

Projekt inwazji przez Bałkany istniał i był gorąco popierany przez Churchilla. Ale sens tego planu polegał na czym innym niż to sobie rozmaici naiwniacy w kraju wyobrażali. To był przejaw odwiecznej brytyjskiej zasady politycznej „balance of power" (równowaga sił na kontynencie). Churchillowi chodziło o polityczne poparcie słabnących Niemiec, przeciwko silniejszej Rosji. Tak, tych samych hitlerowskich Niemiec, które wtedy w najlepsze rozkręcały maszynerię Oświęcimia. Anglicy zresztą zawsze tak postępują. Popieranie na kontynencie osłabłego „nieprzyjaciela" przeciwko rosnącemu w siłę „sprzymierzeńcowi" to jedna z ich stałych zasad. To samo zdarzyło się w roku 1919. Nie dostaliśmy Gdańska i Śląska bośmy byli sojusznikiem Francji.

Churchill odstąpił od swoich bałkańskich projektów, bo mu się zarysowała inna kombinacja równowagi i gry. Między Rosją i Stanami Zjednoczonymi. W tym celu należało wciągnąć Stany na kontynent europejski i utrzymać je tam. I dziś jeszcze, w „bloku atlantyckim", Anglia usiłuje kontynuować tę samą grę.

IX. Radiostacja „Świt", bardzo antyradziecka, nadająca podczas wojny rzekomo w kraju, w rzeczywistości — jak o tym niedawno napisał jeden z publicystów emigracyjnych — znajdowała się w miejscu znacznie bezpieczniejszym i bliżej Londynu położonym, a utrzymywana była w celu stworzenia fikcji poparcia z kraju dla wiadomej polityki londyńskich matadorów.

X. W czerwcu 1945 roku do ówczesnego podziemia w Polsce dochodziły z Londynu instrukcje i rozkazy, z których wynikało, że wybuch wojny jest nieunikniony i że przed zimą front anglosasko-rosyjski ustabilizuje się na linii Wisły. Ogół Polaków nic o tych instrukcjach nie wiedział, a jeśli nawet wiedział to posłuchu im nie dawał. Ale pomyślmy jak owe rozkazy oddziaływały na pogrobowców niepodległościowej konspiracji, na ludzi siedzących w lesie, kompletnie wykołowanych i nie posiadających żadnych uczciwych informacji o prawdziwym stanie rzeczy. A także — ile kosztowały Polskę owe dyspozycje, pochodzące od tych, co przecież *widzieli* dywizje amerykańskie rozłażące się bez rozkazów demobilizacyjnych i *znali* nienawiść społeczeństw zachodnich ku wszelkiej myśli o nowej wojnie.

Zauważmy: wtedy, przed pięciu laty, bardzo nieznaczny procent Polaków upierał się przy dalszym siedzeniu w lesie. I wtedy były to grupy nieliczne, a przynajmniej stosunkowo nieliczne. Ale szkoda jaka z tego dla kraju wynikła była bezwarunkowo *znaczna*. Spostrzeżenie najzupełniej zgodne z podstawową tezą tego artykułu. Że trzeba dbać o zachowanie się jednostek i nielicznych zespołów i strzec je przed otumanieniem. Które to zadanie spełnić może jedynie świadoma opinia publiczna, pilnie patrząca na ręce zamorskim specjalistom od otumaniania własnego narodu.

Wtedy, w roku 1945, cała Europa zabierała się śpiesznie do lizania i leczenia ran. Jedna tylko Polska, najgorzej ze wszystkich pokaleczona, miała — z woli wiadomych polityków — ponosić straty nadal. Bo przecież: *im gorzej tym lepiej* — prawda? W tym tylko rzecz — dla kogo lepiej? Bo że nie dla *naszego* kraju, to pewne.

Już w parę lat po wojnie czytałem artykuł pewnego pana z Londynu, który poprzednio odznaczył się chlubnie kolaboracją z okupantem tudzież schowaniem się w decydującym momencie za szerokie plecy Wehrmachtu, to znaczy zwianiem pod jego osłoną najpierw do Niemiec, a potem do Anglii. Pan ten rozwodził się szeroko, iż opowiadania o wielkich wojennych stratach ludnościowych w Polsce to bajka i że kraj może nadal „walczyć" (z przeciwnikiem, którego ten pan nam wybierze i łaskawie wyznaczy).

Wszystko razem wzięte wyglądało, jakby ten pan chciał nam powiedzieć: idźcie, chłopaczkowie, do lasu, idźcie — a ja wam pobłogosławię — *sam siedząc za murem armat pancerników His Majesty!*

***

Przykłady emigracyjnych „przemilczeń" i „retuszów" można by jeszcze mnożyć i mnożyć. Ale myślę, że i tych dziesięciu punktów wystarczy. Jak już czytelnik zauważył niemal wszystkie te celowe przemilczenia i retusze — będąc właściwie zwyczajnym wprowadzaniem kraju w błąd, oszustwem po prostu — zmierzały do jednego i tego samego rezultatu: do psucia stosunków polsko-sowieckich. To jest całkiem logiczne. Przecież z przykładu nr 1 — z „wrześniowej" wypowiedzi Churchilla — wynika całkiem jasno, iż Polska może być dla Anglosasów tylko narzędziem (drugorzędnym zresztą) służącym do wywierania wpływu na stosunki Londynu i Nowego Jorku z Kremlem. Układ polsko-radziecki likwiduje niepowrotnie te możliwości używania nas jako narzędzia. Jasne więc, że układ ten trzeba podkopywać i psuć. Na ten cel warto poświęcać dolary i funty, zwłaszcza zaś warto przelewać krew polską, pchać Polaków w nieszczęście. Bo ewentualny rozlew tej krwi uniemożliwia rzecz niesłychanie ważną, rzecz będącą podstawą i gwarancją wszelkiego układu i sojuszu: *porozumienie polsko-rosyjskie*. Kto zdaje sobie sprawę z tego czym jest porozumienie, ten łatwo pojmie dlaczego to mianowicie wydatkuje się obecnie tyle dolarów, funtów, franków i pesetów na propagandę, mającą jątrzyć Polaków przeciwko Rosjanom. Bo czy jest *in universo* człowiek dość naiwny, by mniemać, że ktokolwiek na zachodzie wyda grosz jeden dla pięknych oczu Polaków, a nie dla podtrzymania własnych interesów?

Czemuż — ach, czemuż — w żadnej z tych radiowych audycji nie powiedziano, iż *ani jeden* z naszych narodowych interesów nie jest przez Anglosasów respektowany? Czemuż tam nie przytoczą następującej wypowiedzi emigracyjnego pisarza: „Jeżeli Niemcy będą mogli myśleć tak ' ' myśleli w ostatnich trzech ćwierćwieczach, to nie pogodzą się nie tylko z utratą Szczecina i Wrocławia, ani nawet Gdańska i Opola, ale także nie pogodzą się nigdy z utratą Poznania i Torunia, a nawet z utratą Łodzi i Białegostoku. Jeżeli zaś będą myśleli inaczej niż w ostatnich kilku pokoleniach, to pogodzą się z wieloma rzeczami" (W. Wasiutyński: „Ruiny i fundamenty")?

Więc czemuż nie powiedzą nam wyraźnie *kto* mianowicie stara się o to, by Niemcy zaczęli wreszcie myśleć inaczej, *kto* zaś popiera Adenauerów i uwalnia Dietrichów, a tylko pchają nas w awanturę dla Polski zgubną?

Ewentualne awantury w Polsce zostały by przez Anglosasów wyzyskane dla ich propagandy na zachodzie Europy.

Przecież dlatego właśnie zagraniczne rozgłośnie usiłowały torpedować porozumienie w sprawach kościelnych.

Wszystkie te rzeczy trzeba było koniecznie przypomnieć dziś, kiedy w eterze brzęczą rozmaite szumne „wezwania", pochodzące od ludzi, którzy uzurpują sobie „prawo" rozkazywania krajowi i zawierania „umów" w jego imieniu. Bo to są przecież ci sami ludzie, którzy, rozporządzając podczas wojny dużymi środkami, mając dostęp do pierwszorzędnych źródeł informacji, ciesząc się zaufaniem wielu Polaków — nie ustrzegli kraju przed *żadnym* nieszczęściem, nie oszczędzili mu *ani jednego* ciosu. A nawet robili wszystko, co w ich mocy, by nie przestrzec zawczasu.

„I to przysłowie: Polak mądr po szkodzie."

(„A jeśli prawda i z tego nas zbodzie, nowe przysłowie Polak sobie kupi: że i przed szkodą i po szkodzie *głupi*", który to epitet niewątpliwie pasować będzie do tych, co by nadal nie chcieli pojmować rzeczy jasnych, jak boży dzień).

Paweł Jasienica

Redaktor Naczelny: Bolesław Piasecki. Komitet Redakcyjny: Jerzy Hagmajer, Dominik Horodyński, Wojciech Kętrzyński, Janina Kolendo, Mieczysław Kurzyna, Konstanty Łubieński, Andrzej Micewski, Zygmunt Przetakiewicz, Ryszard Reiff, Jan Szwykowski.
Adres Redakcji i Administracji: Mokotowska 43 I p. Konto PKO — Nr I-727
Sekretarz redakcji przyjmuje: codziennie, prócz wtorków i czwartków godz. 12 — 13.
Wydawca: Kolegium Redakcyjne. Prenumerata miesięczna 60 złotych. Kwartalnie 180 złotych
Druk. Skolimowska 5. B-116280